

.....

Piątek 29.III.1940.

Klamka zapadła, trzeba zwiewać. Wacek daje znać ze Lwowa, że wszystko przygotowane, że można przyjeżdżać. Mama ciężko chora, leży w szpitalu. Stan poważny. Byłem u mamy w dzień Wielkanocy, przygotowywałem ją na naszą ucieczkę. Mama niespokojna, pełna niejasnych przeczuć. Rozmowa nie kręciła się, rwała się. Rozstawaliśmy się w smutku. Przejęty chwilą, nie wiedziałem, co działo się w sercu mamy, do tego jeszcze ciężko chorej, tracącej w jednym dniu czterech synów. Wychodzę w nocy z domu ze Zbyszkiem. Idziemy na dworzec kolejowy. Nie pożegnaliśmy się ani z ojcem ani z Danką mimo tego, że ojciec prosił, byśmy nie wychodzili bez pożegnania. Nie chcieliśmy ich budzić: niech śpią spokojnie, może to ich ostatnia spokojna noc, bo potem będą mieli o czym myśleć w długie bezsenne noce. Za ledwie kilka kroków dzieli nas od dworca, ale wiele myśli zdążyło przelecieć przez rozespiane głowy. Wokół ciemno, dworzec również nie za bardzo oświetlony. Lepiej dla nas. Kolejka za biletami. Wraz z bolszewikami przyszły ogonki na wszystko i za wszystkim. Po westybulu kręcą się NKWDziści i miejscowi żydowscy milicjanci w polskich lotniczych płaszczach i z polskimi karabinami. Co pewien czas, kierowani swą gorliwością, legitymują wybranego przez siebie delikwenta. W kasie siedział przedwojenny kasjer kolejowy, Żyd nazwiskiem Chinkes, ojciec mego gimnazjalnego kolegi. Nie patrząc na mnie, wydał bilety. Zbyszek ulokował się w jednym rogu ciemnej poczekalni, ja w drugim w oczekiwaniu na pociąg. Udajemy, że się nie znamy. Spotykam kolegę, jeszcze z czasów "Ćwiczeniówki", Mariana Brygiera który też gdzieś się wybiera. Znajdujemy miejsce w wagonie i pociąg rusza do Lwowa. Opuszczam swoje miasto rodzinne, Tarnopol, w którym spędziłem "moją górną a chmurną", starych rodziców, siostrę i wyjeżdżam w obce strony, nie wiem na jak długo. Obowiązek wzywa do szeregów, a te daleko od Ojczyzny. Czy jeszcze w tym życiu ujrzę moich najbliższych i najdroższych, dom...? Jak smutno, jak ciężko na sercu.

Sobota 30.III.1940.

Przyjeżdżamy ze Zbyszkiem do Lwowa. Dworzec zniszczony, jeszcze nie doprowadzony do stanu przed zbombardowaniem go przez Niemców we wrześniu 1939. Zamieszkaliśmy u mojej gospodyni z czasów uniwersyteckich - pani Bochnakowej, przy ul. Zadwórzeńskiej 19. Przychodzi Wacek, który zatrzymał się w domu rodziców swej narzeczonej Krysi R. Okazuje się, że nic

nie zostało przygotowane. Ucieczka odwleka się.

Niedziela 31.III.1940.

Przyjeżdża Manek. Jesteśmy więc w kupie. Nie wiem, co Wackowi strzeliło do głowy, w każdym razie dziś ma odbyć się jego ślub z Krysią R. Nic nam nie mówił dotychczas o swoich planach. Uroczystość odbyła się w kościele św. Magdaleny, w moim pechowym kościele. Było wzruszająco. Choć byłem przeciwny temu, uległem atmosferze panującej w kościele. Dwoje młodych ludzi postanawia założyć rodzinę i zgadzają się z tym, że za parę dni przyjdzie się rozstać, kto wie może na zawsze. Są rzeczy, które trudno zrozumieć. Wacek w płaszczu wojskowym, świadkowie również. Ksiądz przemówił od ołtarza, wzruszył wszystkich do łez. Pomyślałem sobie, że powstaje tworzywo malarskie dla nowego Grottgera.

SOBOTA 13.IV.1940.

Od kilku nocy śpimy w piwnicy, by gościnnych gospodarzy nie narażać na kłopoty w związku z wciąż myszkującymi kontrolami. Wczorajszej nocy była we Lwowie wielka obława. Zbudziły nas odgłosy kroków po schodach. Okazało się rano, że przyszli zabrać brata naszej gospodyni, kapitana Krajewskiego, z rodziną. Na ulicy stały długie szeregi ciężarowych samochodów. Wywieźli ze Lwowa około 20000 ludzi. Noc była za krótka, wywózka przeciągnęła się przez pół dnia. Dzisiejszej nocy nie spaliśmy w ogóle, nadsłuchując kroków zbliżających się do domu przy ul. Zadwórzeńskiej 19. Dziunek Warchałowski pojechał po broń do Tarnopola.

sobota 20.IV.1940.

Dłużej już siedzieć we Lwowie nie można. Wprawdzie nic nie przygotowano, broni nie ma, wszystko zawiodło. Nie czekaliśmy na powrót Dziunka Warchałowskiego z Tarnopola, ruszamy na los szczęścia: Manek, Wacek, Zbyszek, Mietek Rembisz i ja. Mietkowi „palił się grunt pod nogami” w Tarnopolu, więc w ostatniej chwili dołączył do nas. Jedziemy do Doliny. Ja ze Zbyskiem i Mietkiem R. jednym pociągiem przez Stryj, a Manek z Wackiem przez Stanisławów. Mamy się spotkać za Doliną, w lasku, w oznaczonym na mapie miejscu. Niebezpiecznie jest teraz podróżować pociągami. My praktycznie bez dokumentów. Mamy ze sobą przedwojenne legitymacje członków rodziny kolejjarza, uprawniające do zniżek kolejowych. Przedwojenne, a więc nieważne. „Paszportów” bolszewickich nie mamy. Tylko Zbyszek, jako uczeń „dziesięciolatki” z polskim językiem nauczania, miał coś takiego. Rembisz przywiózł z Tarnopola wiadomość o aresztowaniu 11.IV. Zbyszka Zimmera przy odbiorze takiego właśnie dokumentu.

Jakoś w końcu dojeżdżamy do Stryja. Jest jeszcze dużo czasu do odjazdu pociągu do Doliny, więc idziemy na miasto. Na ulicach sami Żydzi, Polaków nie widać. Wszędzie czerwone płachty. Wstępujemy do kościoła i modlimy się o powodzenie naszej wyprawy. Jesteśmy przygnębieni, pełni niejasnych przeczuć a zarazem wściekli na to, że musimy chyłkiem uciekać z naszej ojczyzny. Przed wieczorem dojeżdżamy do Doliny. Na stacji oczekuje nas łączniczka ZWZ, młoda nauczycielka, która rozpoznaje nas po kwiatku w butanierce. Idziemy w pewnej odległości za nią. Prowadzi nas na umówione miejsce za miastem i opuszcza nas. Wieczorem, po zmroku, przyprowadza Manka i Wacek. Czekaliśmy na nich kilka dobrych godzin, pełni niepokoju : uda się, nie uda się? Przyjechali. Od tyłu, od obejścia wchodzimy do domu, gdzie mieszka ks. Żak. Tu miało być wszystko przygotowane do naszej wyprawy: broń, żywność, instrukcje. Okazuje się, że nie ma niczego. Aresztowania i wywózka z 13.IV. porwały wszystkie nici organizacyjne. /Po wojnie okazało się, że łączniczka ze Lwowa przywiozła broń, ale nie znalazłszy odbiorcy na umówionym miejscu, pozbyła się jej na stadionie sportowym w Dolinie/. Mamy mało chleba na drogę. Sami nie mogliśmy przywieźć więcej ze sobą, by nie zwracać uwagi kontrolujących. Zamiast spodziewanych 20 kg. chleba, z trudem nazbieraliśmy z gospodynią księdza 4 kg. Nie chcemy narażać księdza, więc po pół godzinnej przerwie, opuszczamy jego dom i idziemy w swoją drogę. Serdecznie nas uściskał, smutnie pobłogosławił. Wstyd mu chyba było z powodu zawodu, jakiego doznaliśmy na początku drogi. Walimy naprzeciąj przez jakieś ugory i zapadamy w las. Jest ciemna noc. Z prawej strony widać jakieś migające światełka ze wsi i słychać szczekanie psów. Wieś układa się do spoczynku, my tej nocy spać nie będziemy, musimy odbić się jak najdalej. Staramy się iść ostrożnie, przedzieramy się przez krzaki, ścieżek nie uznajemy. Trzeszczą pod nogami suche gałęzie, a w naszej wyobraźni w tej nocnej ciszy, każdy szelest urasta do olbrzymich huków. Krew mocno pulsuje. Prowadzi Wacek. Przemykamy się jak wilki, przydało się harcerskie doświadczenie. Od czasu do czasu, Wacek sprawdza przy błysku zapalniczki kierunek na kompasie. Dziwna rzecz, ale idziemy prawidłowo tak, jakbyśmy maszerowali gościńcem a nie leśnymi bezdrożami. Towarzyszą nam modlitwy naszych najbliższych. Szliśmy całą noc. Słońce wzeszło, gdy zaszywaliśmy się w krzaki, by zasnąć.

21-27.IV.1940.

Szliśmy tyło nocami : 8 bezsennych nocy. Przedzieraliśmy się przez ostępy leśne, z dala od osiedli, gajówek, szlaków turystycznych czy ścieżek kłusowników. Wspinaliśmy się na ośnieżone szczyty, brodziliśmy po pas w śniegu.

Raz nawet omalże nie usunęła się na nas lawina śniegu ze strome go zbocza. Szliśmy dnem górskich strumieni, zdarliśmy zupełnie obuwie. Wody w nich nigdy nie brakowało. Ogni nie rozkładaliśmy, by nie zdradzać naszej obecności. Przy wyjściu ze strumieni na brzeg, posypywaliśmy pierwsze ślady naszych stóp papryką, z myślą o psach NKWD pogranicznego. Żywiliśmy się chlebem i smalcem, popijając wodą ze źródeł i strumieni. Spaliśmy na świerkowych gałęziach, na których rozkładaliśmy nasze ubrania, pozostając w bieliźnie, przytuleni do siebie, przykryci płaszczami, a nieraz i śniegiem, który spadł w czasie naszego snu. Grzaliśmy się ciepłem naszych ciał. Przez cały ten czas nie spotkaliśmy człowieka. Raz tylko daleko widzieliśmy sylwetki takich samych jak my, albo patrolu sowieckiego? Ostatnie dwa dni bez jedzenia. Przypadła na każdego z nas jedna łyżka okruchów z chleba, trochę wydrapanego z puszki smalcu i po łyżeczce cukru. Byliśmy wyczerpani kompletnie. Ostatnia noc była ciemna i padał deszcz ze śniegiem. Brodziliśmy po śniegu gęsiego, trzymając się pasa poprzednika w marszu, by się nie zgubić. Nie było widać ani krok przed sobą. W ciemnościach przeleźliśmy przez jakąś barierę z kłoców drzewa. To była granica. Ostrożność doprowadzona do ostatecznych granic; niemal wstrzymaliśmy oddech. Jeszcze raz przeleźliśmy przez podobną barierę z potężnych bali. Odeszliśmy od tego miejsca trochę dalej i zupełnie wyczerpani i wyładowani, runęliśmy na śnieg i zasnęli.

Niedziela 28.IV.1940.

Zbudziło nas słońce, obdarzając nas swym ciepłem. Wstaliśmy zupełnie przemoczeni. Rozebraliśmy się i zaczęli suszyć swoje ubrania. Nie spieszyliśmy się, choć kiszki marsza grały. Byliśmy przecież za granicą! To nam potwierdzała mapa, odczytana przez Wacka. Gdy trochę obeschły nasze ubrania, ruszyliśmy w dalszą drogę. Ożywiły się nasze rozmowy, planowaliśmy odbić się jeszcze trochę od granicy zanim wejdziemy do pierwszej miejscowości po węgierskiej stronie granicy. Po pewnym czasie weszliśmy na dość dobrze utrzymaną drogę. Minęliśmy jakiś słup z wielką literą "C" wymalowaną czerwoną farbą. Wacek uważał to za dowód, że jesteśmy za granicą. Ja miałem jakieś przeczucie, bo znalazłem kawałek rosyjskiej gazety i wieczko pudełka z papierosów "Machorkowych". Coś mi się to nie podobało, nie chciałem psuć ogólnej radości. Może nie mam racji? Wtem, z zakrętu drogi, na parę kroków przed nami, wychodzi z zasadzki patrol. Wacek powiada, że to Węgrzy, ja natomiast widzę, że to nie-nawistni bolszewicy. Przegraliśmy. "Ruki w wierch" i pada straż tuż nad

naszymi głowami. "Leżisz" i leżymy na śniegu, aż po godzinie zjawia się zadyszany oficer z żołnierzami. Zrewidowano nas. Pierwsza rewizja, otwierająca niekończący się łańcuch tych czynności przez cały czas naszego znajdowania się pod ich władzą. Zaprowadzili nas na posterunek graniczny. Wydaje się, że było to Podlute w lasach władzyki Szeptyckiego. Zaczął padać deszcz. Trzymali nas przed budynkiem, naigrywając się z nas. Wykorzystując ich rehoty, przekazałem wersję naszą, jaką mieliśmy wszyscy posługiwać się w czasie przesłuchiwań: ojciec zginął w bombardowaniu, matka wyjechała do Zagórza po niemieckiej stronie. My zdążamy do niej, bo tędy łatwiej się dostać. Przemokliśmy zupełnie zanim zaczęli nas wzywać na przesłuchanie. Ja poszedłem pierwszy i opowiedziałem im uzgodnioną przez nas historyjkę. Chyba niezbyt wierzyli, szczególnie wtedy, gdy znaleźli u Wacka mały kompas i mapę z wytyczoną trasą. Próbowali Wacka steroryzować pistoletem, ale nic z tego nie wyszło. Jakoś przeszło to pierwsze przesłuchanie, obfitujące w wiele ciekawych i drastycznych momentów. Musieliśmy mocno wysilać się, aby uniknąć sprzeczności w naszych zeznaniach. Pomagała nam przy tym nasza nieznajomość języka rosyjskiego i ich naszego języka. Zgodność naszych zeznań doprowadzała ich do wściekłości, ale nie była to niczego lepszego, jak upór. Dopiero wieczorem zamknęli nas, przemoczonych do suchej nitki, w zimnej komórce i dali po 20 dkg. chleba i czystą gorącą wodę. Pokładaliśmy się do snu, jeden obok drugiego na mokrej podłodze. Zasnęliśmy w kącie pomieszczenia a rano przebudziliśmy się w przeciwnym kącie, tuż przy drzwiach, w których stał żołnierz - Armeńczyk, uśmiechając się. Tak silne w nas było pragnienie wydestania się na wolność, że w kataleptycznym śnie, kierowani tym pragnieniem, poruszaliśmy się zgodnie w kierunku drzwi-wyjścia.

Poniedziałek 29.IV.1940.

Budzą nas rano i pędzą wzdłuż torów kolejki leśnej do Osmołody. Na pięciu, a ich ośmiu i do tego pies, szczerzący kły. Ot bohaterowie! Przyprawdzili nas do przedwojennego posterunku policji i przetrzymali nas tam przez jeden dzień, który przeszedł na przesłuchaniach. Tutaj zniszczyliśmy drugi kompas, którego nie wykryli przy pierwszej rewizji, a Wacek wsunął w szpary w podłodze swoją książeczkę wojskową, która była zaszyta w kurtkę

Wtorek 30.IV.1940.

Ładują nas na samochód ciężarowy, a kapitan "graniczników" osobiście powiązał nas, jak barany, sznurem. Samochód wytrząsł nas niemiłosiernie,

a sznury wżarły się w przeguby dłoni tak, że ręce zupełnie zdrętwiały. Umieścili nas we więzieniu w Nadwórnej. Na wartowni zrewidowali raz jeszcze. Zabrali krawaty, sznurówki, szaliki i wsadzili do cel. Zamknęły się za mną drzwi celi nr.1. Braci i Mietka Rembisza zamknęli w sąsiadujących z moją celach. Stanałem w progu zupełnie ogłupiały. Uderzyły we mnie spojrzenia trzech paru oczów. Przywitałem się z obecnymi w celi. Dwaj tacy jak ja "turyści" /tak zostaliśmy ochrzczeni/, których oskarżano z art. 58 § 16/80./ i jeden Ukraińiec, wsadzony za posiadanie broni. Rozglądałem się po celi. Z prawej strony w kącie parawan z desek, pomalowanych wapnem. Ciągnie stamtąd okropny smród. Mieści się za nim "parasza". Tak w języku więziennym nazwano ustęp. Obok, wzdłuż ściany zbudowano z drzewa tzw. "nary". Na wprost drzwi okratowane okno, z lewej strony kulawy stół, z wyciętą na nim nożem szachownicą. Przy nim ławka. Bliżej drzwi, z tej samej strony co stół, stoi żelazne łóżko bez siennika. Na nim śpi Ukraińiec, który w tej celi przebywa od siedmiu tygodni. Dalszymi towarzyszami niedoli są dwaj młodzi ludzie, którzy w tym samym celu, co i ja, podążali za granicę. Jeden to student politechniki lwowskiej, a drugi nieokreślonego zawodu, mocno poszarpany przez psy na granicy. W celi brud i zaduch, charakterystyczny dla wszystkich więzień w Rosji. Wszystko to przesiąknięte amoniakiem. Drzwi żelazne, okute blachą, a na nich moc nazwisk wrytych gwoździem. Nazwiska tych, którzy przed nami przeszli przez tą cękę. Historia celi. Jest jedno znajome nazwisko z Tarnopola: Ludek Sosiński i data z grudnia 1939. Gdy będę opuszczał celę, dopiszę swoje nazwisko. Zapoznaję się z "pensjonariuszami" i powoli przychodzę do siebie : jestem więźniem. Wraz ze swoimi gratami zostawiłem na wartowni bezcenny grat, jakim jest wolność.

30 IV - 1940

Jestem głodny jak bezpański pies. Czas dłuży się okropnie. Czy już nie skończy się nigdy dzisiejszy dzień? Wieczorem otwierają się drzwi i strażnik przynosi czystą, gotowaną wodę tzw. "kipiatok", narodowy napój rosyjski od czasów rewolucji. Biorę tę wodę w usta i pomimo tego, że dokuczają mi pragnienie, wypływam ją z obrzydzeniem. Chyba nie przywyknę do tego? Zbliża się noc, kładziemy się do snu. Klękam na więziennym kamieniu podłogi i modlę się. Opadają mnie najgorsi wrogowie więźnia: myśli, a zwłaszcza szczególnie jedna natrętna, co tam w domu? Jak się czują bracia w sąsiednich celach? Za dużo wrażeń, jak na jeden dzień. Kładę się na pryczy. Jak twarde jej deski! Zamykam oczy i widzę kraty. Skołatana głowa opada na deski i zbawczy sen bierze mnie w swoją opiekę. We śnie jestem w domu, jestem na wolności ...

Sroda 1.V.1940.

Budzę się rano i nie zdaję sobie sprawy z tego, gdzie jestem. Spojrzenie

1.V.1940

na kraty, na te nienawistne kraty i szybko wracam do rzeczywistości. Pomaga mi w tym ból w kościach. Jak okropnie bolą kości po nocy na narach, jak nieprzyjemnie ssie w żołądku. Odzywa się straszny wróg człowieka : głód, nieznany dotąd głód. Otwierają się drzwi celi i zjawia się chleb. Biorę do ręki tę małą "pajeczkę"-60dkg i w mig znika ona w czeluściach mego żołądka. Jak to mało !: Moi towarzysze celi postępują inaczej: połowę "pajki" zjadają na śniadanie, a drugą zostawiają na obiad. Mają już doświadczenie, ja dopiero uczyć się będę od nich tej sztuki życia w niewoli więziennej. Popiłem gorącą wodą, która zaczyna mi smakować. I po śniadaniu. Za chwilę znów zaczyna ssać w żołądku, a myśli rozpoczynają swą podróż dookoła chleba, tego powszedniego. Usiłuję grać w szachy. Jakoś nie idzie. Kładę się na narach. Twardo i niewygodnie. Czas się dłuży. Kiedy będzie obiad ? Słysząc kroki na korytarzu. Wprowadzają młodego bruneta w sportowym ubraniu w myśliwskim kapelusiku. Zamykają się drzwi za nim, a on stanął tak samo jak ja wczoraj. Zaczynam z nim rozmowę. Nie odpowiada. Później zaczyna sam mówić. Kaleczy rusińską mowę. Okazuje się, że jest Rusinem Zakarpackim, który uciekł z Węgier na polską stronę, do Rosji. Jest pełen niepokoju o swą przyszłość. Nie tak wyobrażał sobie raj 60-wieki, do którego dotarł. Ja odpowiednio pomagam mu w tym "zrozumieniu" do tego stopnia, że chłopak wybuchł spasmatycznym płaczem. "Masz tobie, babo, placek!" Dają obiad. Woda na kościach i kilka kruszek, góńiących się wzajemnie w misce. Jak tu na tym żyć? Ale przecież nie samym chlebem człowiek żyje. Nie dam się ! Wieczorem znów woda, tym razem czysta. To już lepiej, przynajmniej nie śmierdzi.

Czwartek 2.V.1940.

Do celi przybywają nowi goście. Są to Rusini Zakarpaccy, dezertery z armii węgierskiej. Wśród nich dwóch autentycznych Węgrów. Cela nabiera charakteru międzynarodowego, coś w rodzaju małej Ligi Narodów. Tak więc, jak i w Lidze, rozpoczynają się starcia. Oni wciąż wiele obiecują sobie po sowieckim raju, zgodnie z propagandą, mówiącą im, że dostaną polską ziemię po polskich panach. Ja im odpowiednio ten wymarzony raj maluję. Każda rozmowa kończy się stwierdzeniem, że pozdychają w więzieniu. Oni z kolei mnie "pocieszają", że polskim panom przyszedł koniec. Tak się układa współżycie. Oni przynieśli ze sobą "paski" poświęcone /Bułki/, drażniące zapachem moje podniebienie i przypominające święta w domu.

Sobota 4.V.1940.

Wchodzi do celi jakiś umundurowany typ z księgą w ręku i zaczyna wyczytywać nazwiska. Pada i moje. Pojedziemy do więzienia w Stanisławowie.

Po pewnym czasie wyprowadzają mnie z celi na korytarz. Tam już stoi długi szereg zarośniętych, w wymiętych ubraniach i płaszczach ludzi. Ktoś mnie woła. Jest Manek i Zbyszek. Za chwilę przyprowadzają Rembisza i Wacka, za którym leci rosyjskie przekleństwo i: "Skolko tych Bligarskich?" My, człerej bracia budzimy niemałą sensację w tym towarzystwie ~~gromie~~, bo nie było jeszcze takiego przypadku, by zawitała tu rodzina w tak licznym gronie. Najważniejsze, że znów jesteśmy w czołgu. Dzielimy się wrażeniami, podczas gdy nas ładują na samochody ciężarowe i wiozą pod liczną eskortą na dworzec kolejowy w Nadwórnej. Tam wpychają do wagonów i ruszamy. Ocieramy się znów o świat, z którego nas wyrwano. Widzimy z okien ludzi pracujących w polu. Tam za cienką ścianą wagonu bydłęcego wre życie, a my tu, pod karabinem. Niewolnicy. Można oszaleć. Ja szczególnie mocno odczuwam brak wolności, którą tak strasznie kochałem, będąc z natury duchem nieskrępowanym i nie uznającym więzów. Lepiej, by strzelono człowiekowi w łeb, aniżeli pozbawić go wolności. Jesteśmy na dworcu kolejowym w Stanisławowie. Czworkami wyprowadzają nas na ulicę. W pierwszej czwórce trzą kobiety i czteroletnie dziecko. Żony oficerów zatrzymane na granicy węgierskiej. Prowadzą nas jak zbrodniarzy pod karabinem z nasadzonymi "szytkami"/bagnetami/. Na ulicach tylko Żydzi, obrzucający nas nienawistnymi spojrzeniami. My im na to odpowiadamy dumnym podniesieniem czoła i zaciśniętymi pięściami. Na usta wpływa pogardliwy uśmiech. Przyjdzie czas, że znikną z ulic czerwone płachty i ci, którzy je tak chętnie wywieszali i ci, którzy im przy tym pomagali. Dochodzimy do więzienia. Zatrząskuje się za nami brama, zda się, że zapada wieko trumny. Czekamy na podwórzu i spoglądamy na te mury, które nas oddzielą od świata i nadsłuchujemy odgłosów życia, dochodzących z za nich do naszych wyczulonych już uszów. Wreszcie przyjmują nas. Stary porządek "regulaminowy" : rewizja-"obisk", rozbieraj się do naga, otwórz usta, podnieś ramiona do góry, zrób przysiad i wypnij na koniec swój "odwrotny medal", by władza mogła przekonać się, że niczego nie przemycasz do więzienia. Sprawne ręce obmacują każdy skrawek ubrania. Nic nie uchodzi ich argusowym oczom. Wszystko wylatuje z kieszeń. Przeglądają moje buty narciarskie, zagląдают pod podeszwy, odcinają zapinki, wyrywają okucia. Czysta robota! Fachowcy w białych płaszczach wykonują swoje obowiązki. Zobaczyli na moich piersiach medalik z Matką Boską. "Dawaj!" Zrywa i rzuca w kąt. Z pod oka patrzę na niego i zaciskam szczękę. "Czewo na mienia tak smetrisz, gdzie twój boh?" Zbyłem milczeniem zaczepkę tego, jak bardzo ubogiego i bardziej ode mnie nieszczęśliwego człowieka. Po rewizji łażnią "bania". Potem zamykają nas w celi przejściowej. Do pojedynki wsadzili

4-V-1940

STANISŁAWOWE

30 delikwentów. Okropny gorąc i brak powietrza. Walimy w drzwi i podnosimy krzyk. Otworzył strażnik na chwilę drzwi. Przynoszą pencek' na kelację. Jakiś ludzki był ten strażnik, bo dawał repetę - "dobawkę". Rzuciliśmy się na to wygłodniaли i po trzech menażkach byliśmy gotowi. Nie schodziliśmy z muszli klozetowej. Złapało nas normalne w takiej sytuacji rozwolnienie. Jeszcze jedna nauuczka; a może ten strażnik nie był tak niewinnie dobroduszny ?

Niedziela 5.V.1940.

Dopiero pod wieczór zaczęli nas rozdzielać po celach. Prowadzą mnie na drugie piętro. Stajemy przed celą nr. 59. Otwierają się drzwi i wpychają mnie do środka. W celi pełno i gwaro. Patrząc po twarzach i o dziwo! odnajduję znajomą twarz: to przecież Kazik Partyka. Zaintrygowało mnie jego zachowanie. Nie zbliżył się do mnie, więc ja dostosowałem się do tej "etykiety". Udaję, że go nie znam. Tymczasem zasypują mnie pytaniami: co słychać na świecie? jak przebiega wojna? jak sprawa Polski? Staram się odpowiedzieć na pytania, ale ostrożnie, bo na celi może być "kapuś". Po pewnym czasie, gdy mi dano spokój, zbliżył się do mnie Kazik i wyjaśnił swoje dziwne zachowanie. Wyjaśnił, że siedzi pod nazwiskiem Krawczuk. Mogłem sobie pogratulować zimnej krwi, że go nie "zdradziłem" a właściwie nie zdekonspirowałem. Często zdarzały się we więzieniu takie sytuacje, tylko że nie zawsze tak się kończyły. Cella mała. Z prawej strony 5 łóżek, z lewej jedno, a nas w celi 23. Spią po dwóch na łóżkach, a reszta na podłodze. Zgodnie z niepisanym prawem celi zaczynam swą karierę od najgorszego miejsca, jakim jest sąsiedztwo "paraszy". Niezbyt wonne miejsce, ale prawa celi są bezwzględne.

Poniedziałek 13.V.1940.

Miałem przykry sen. Kładąc się spać, każdego wieczoru pragnę we śnie przenieść się do domu, by być tam przez parę chwil snu. Dziś mi się powiodło. Widziałem we śnie mamę, która miała na piersi wycięty krzyż. Rana nie krwawiła. Zerwałem się ze snu. Opadły mnie złe myśli, jak gady wysysające spokój. Ten sen na długo wytrącił mnie z równowagi.

Do Zielonych Świąt 1940 r.

Życie na celi układa się naogół spokojnie. "Lokatorzy" dzielą się na cztery grupy. My, młodzi, tworzymy pierwszą, druga to starsze pokolenie, trzecia to Karpatorusini i czwarta jednoosobowa to "kapuś". Ten ostatni podawał się za podchorążego nazwiskiem Pięta. Wiodło mu się najgorzej ha

celi. Bojkotowany przez Polaków, wyrzucony poza nawias życia celi. A nam całe dni schodzą na dyskusjach. Jesteśmy wciąż pod przygniatającym wrażeniem upadku polskiej państwowości. Rana wciąż świeża. My, młodzi, szczególnie boleśnie przeżyliśmy klęskę wrzesniową, zraniona została nasza dumą narodowa. Toczmy więc ostre spory z grupą starszych, reprezentujących kierunek polityczny, który w naszych oczach był sprawcą naszego upadku, jakże szybkiego! Czasami atmosfera na celi jest gorąca, nieraz dochodzi do ostrych starć słownych. Cóż robić, jeżeli my różnimy się nie tylko poglądami politycznymi. Nie ma po prostu ani jednej dziedziny życia, która by mogła stanowić platformę dla porozumienia. To są ludzie przyzwyczajeni do ustabilizowanego trybu życia, bez wstrząsów, podczas gdy my, młodzi, nie wahamy się płynąć w wielu sprawach pod prąd. W codzienności życia w celi wychodzą na światło dzienne brzydkie cechy charakteru ludzi, szczególnie starszych. Więzienie załamano wielu z nich, a raczej może odsłoniło to, co w normalnym życiu można było osłonić pozorami i słodkimi uśmieszkami. Teraz zostali wyrwani ze swego otoczenia i pozbawieni wszystkiego. Trzeba było zostawić w domu podawane do łóżka śniadanie, a poprzestać na wiecznie niewystarczającym kawałku czarnego chleba. Morale ich pozostawiało wiele do życzenia. Ła-
komstwo, brak opanowania, oszustwa przy podziale chleba i posiłków, brak zrozumienia potrzeb współtowarzyszy niedoli, sobkostwo, egoizm w najgorszym wydaniu - oto wszystko, co wylazło z człowieka przy pierwszej, poważniejszej próbie życiowej. Najbardziej wstrząsającym dla mnie widokiem poniżenia człowieka był widok starszego pana, kiedyś na poważnym stanowisku, który podniósł niedopałek papierosa strażnika, celowo przez niego wyplutego i wtartego w podłogę celi. Wciąż widzę jego wzrok wbity w koniuszek dopalającego się papierosa i ten skok do resztek po zmknięciu drzwi przez strażnika! A za chwilę, jakdyby nigdy nic, rozmowy wspomnieniowe o wódce, o herbatce biurowej, o trójkacie małżeńskim itp. itp. My rozstrząsaliśmy przy czynie upadku państwa i dyskutowaliśmy o przyszłym "wyglądzie" kraju. W rozmowach naszych budowaliśmy obraz Wielkiej Polski na czele Słowiańszczyzny.. Płynęło sobie życie w celi dwoma nurtami, które schodziły się tylko raz wieczorem, gdy odprawialiśmy nabożeństwo majowe. Jedyne moment zawieszenia broni w polskim obozie. Od czasu do czasu, w porze nocnej, wzywano kogoś z celi na przesłuchanie. Taki delikwent wychodził zdenerwowany, a pozostali nie śpiąc, czekali na powrót, z magla. Po paru godzinach wracał z obłądem w oczach, rozbitą twarzą i z obolałymi kośćmi. Siadał w kącie, gdy my staraliśmy się uspokoić go. Czasami coś zrelacjonował, w większości przypadków milczał ze względu na kapusia. Najbardziej bitym na przesłuchaniach z naszej celi był podchorąży Jakubowski ze Stanisławowa. W zasadzie całymi

dniami leżał na łóżku nie mając siły, by wstać. Ciągłe bicie świadczyło o tym, że się trzymał. W następną noc czekaliśmy na kolejkę, każdy na swoją.

Najgorszymi wrogami więźnia w celi to czas, głód i „kapuś”. Różnie się z nimi walczy. Dla zabicia czasu służą rozmowy, konkursy szachowe, sen i praca. Był ze mną kolejarz ze Sniatyna, Skulski, który z kawałka oparcia z żelaznego łóżka zrobił nóż. Wyostrzył go kamieniem, przyniesionym ze spaceru, wypolerował na żeberkach centralnego ogrzewania. Z ukradzionego kawałka drzewa zrobił mi drewnianą łyżkę. Innemu koledze wyczarował fajkę. /Lyżka przejechała ze mną przez wszystkie więzienia i łagry. Rozstała się ze mną dopiero w Kermine, gdzie mi ją skradł ktoś „bardziej” ode mnie potrzebujący. /Skulski w pracy swej wykazał wiele cierpliwości zważywszy, że trzeba było ukrywać się przed okiem strażnika, zagląającego przez judasza do celi. Na skutek donosów „kapuś” odbywały się rewizje. Rozbierano nas wtedy do naga i przewracano wszystko w celi podczas gdy my staliśmy na korytarzu. Wiele rewizji kończyło się fiaskiem dla przeprowadzających je strażników, czasami jednak udało się coś znaleźć. Raz w chlebie znaleźli.... zegarek. U mnie nie potrafili wyłuskać ze spodni narciarskich, zaszytego w nich drugiego medalika.

Zmieniają się lokatorzy celi. Jednych zabierają, by w ich miejsce wprowadzić drugich. Gdzie ich zabierają, nie wiemy. Napewno nie idą „na wolność”. Dzięki tej rotacji powoli, ale stopniowo oddalam się od „parazy” i przesuwam się co raz bliżej uprzywilejowanych miejsc na łóżkach. I rzeczywiście 26-go maja odchodzi z cel większa grupa ludzi, z naszej m.i. Kazik Partyka. „Awansuję” na jego miejsce na łóżku, które dzielę ze Słazakiem, który podaje się za Jana Przybytkę/przypuszczam, że to przybrane nazwisko/. Przychodzą nowi ludzie, a z nimi wiadomości ze świata. Skape, bardzo skape. Na świecie zastój, nic ciekawego nie dzieje się. Przychodzi mniej naszych ludzi, za to znacznie więcej Karpatorusinów i Bukowińców z Rumunii. Ci ostatni nie mogą wyjść ze stanu oszołomienia, że znów spotkali się z „panami”, po których majątki wybrali się przez granicę z Bukowiny do Polski. Mimo wszystko trudno nie współczuć tym biedakom-ofiarom bolszewickiej propagandy, chociaż i do „Schadenfreude” niegaleko. Teraz pojawiły się wszy, proweniencji zagranicznej. Gdy zobaczyłem pierwszą w moim życiu wesz spacerującą sobie po mojej wiatrówce omal nie zwymiotowałem. Niepokazne stworzenie, wywołujące w obserwowanym je człowieku, wstręt i obrzydzenie. A cóż mówić, gdy ono zaczyna wędrować po ciele? Jedno to można wytrzymać, ale setki? Wzięliśmy się za Bukowińców, ubranych w kożuski-wylęgarnie wszy. Byli bardzo zdziwieni, że my wydaliśmy walkę ich wszom. Z jednego takiego półkożuszka wyłuskiwaliśmy w jednym wieczornym posiedzeniu około 400 wszy. Nie na wiele zdała się ta walka, towarzyszyły nam od tej chwili przez całą podróż po sowieckiej krainie.

Codziennie o innej porze dnia wyprowadzają nas na przechadzkę. 20 minut spaceru na małym obmurowanym podwórku więziennym. Dopiero tu, na słońcu patrząc jeden na drugiego, widzimy co z nas powoli ale stale, robi pobyt za murami. Jesteśmy bladzi, oczy zaczerwienione /przez całą noc pali się światło elektryczne w celi/, zaróżnięci, głowy ostrzyżone. Odurza nas powietrze, ciągniemy nogi za sobą. Rozrzewnia nas widok zielonej trawki, wychylającej się z pod kamienia. Tam, na zewnątrz musi teraz być pięknie, wiosna, maj ! Nie nasza to jeszcze wiosna. Jak ciężko jest wejść na drugie piętro, wracając z przechadzki. Więzienie pozbawia nas sił. Jeżeli już teraz, za ledwie po jednym miesiącu w więzieniu, jestem tak osłabiony, to jak długo wytrzyma mój organizm ?

Głód. Odzywa się ten stary drań 7 żołądek. Cały dzień odczuwam głód. Slina wypełnia mi usta, ssie w żołądku. Czy jeszcze kiedy będę najedzony ? A tak niewiele przecież pragnę, parę dkg chleba więcej. Myśl kręci się dookoła chleba, uparczywie do niego wraca. Trzeba ją skierować w inną stronę. Zaczynam rozmowę z kolegami na temat...moralności w życiu społecznym. Wysilek umysłowy daje chwilę zapomnienia, czas szybciej leci, zapominam na chwilę o chlebie.

Co porabiają moi bracia ? Trzeba dowiedzieć się, w której celi znajdują się. Zaczynam pisać na menażkach zapytania o nich. Menażki wciąż się zmieniają, więc jest nadzieja, że zawędrują i do nich. Rzeczywiście, po kilku dniach dają znać o sobie moi trzej bracia. Na menażkach już nie ma wolnego miejsca, przestają spełniać swoją rolę biura informacji. Czasami ogarnia mnie chandra. Wtedy z nikim nie rozmawiam. Potrafię przespacerować cały dzień po celi, nie zamieniwszy z nikim słowa. Zmęczony paru-kilometrowym spacerem, rzucam się na deski łóżka z pragnieniem snu. Natrętna myśl nie pozwala tak szybko wyłączyć się z rzeczywistości. Aby nie tracić orientacji w czasie, robię kalendarz na ścianie. Skreślam mijające dni. Narasta czas przebyty w celi. Czy jest w tym kalendarzu dzień wolności ? Czasem w nocy budzi nas dziki, pełen bólu krzyk. Przypomina nam gdzie jesteśmy.

Zielone Święta 1940 r.

Wywołują mnie na korytarz. Podchodzi do mnie jakiś Żyd i zaczyna strzyć włosy. Włosy moje zaścielają podłogę. Przypominają mi mój dzień postrzyżyn. Straciłem długi łoki, gdy zdałem do gimnazjum. Ile to lat temu ?

Wtorek 28.V.1940.

Cztery lata temu zdawałem maturę. Otwierał się przede mną świat dorosłych, a dziś ? Dziś otwierają się.... drzwi celi, w których ukazuje się strażnik.

wraz z NKWDzistą i z karteczki odczytuje: "Czesław Michajłowicz Bligarski!" Lekki dreszczyk przeszedł mi po plecach. Więc to wezwanie na "dopros". Czeka mnie egzamin tym razem "z dojrzałości". Mój cerber z ponurą miną prowadzi mnie korytarzami i schodami, zatrzymując mnie od czasu do czasu. Wtedy każe odwrócić się twarzą do ściany. Słyszę nadchodzące kroki, mija nas ktoś wracający z przesłuchania. Wchodzę w rolę więźnia tak dramatycznie opisywaną przez "piewę" czerezwyczajki Breszko-Breszkowskiego. Idziemy dalej, przeszliśmy przez podwórze. Jesteśmy w gmachu sądu. Na drugim piętrze stajemy przed pokojem nr. 72. Wewnątrz czeka na mnie siedzący za biurkiem "śledowateł". Ma lekkiego zęza. Po wstępnych pytaniach zaczyna się taniec. Mierzymy się oczyma, staram się opanować. Silnie zwieram szczęki i przyciskam dłonie do dna szuflady biurka, gdy śledowateł uporczywie powtarza pytanie o przynależność do "miateżnickiej" organizacji. Czeka na pytania. Odpowiadam krótkim: nie. Wojna nerwów. Wszystkiemu zaprzeczam. On mi wciąż radzi, bym się namyślił. W kółko to samo aż do znudzenia. Wreszcie mój podpis po polsku złożony na protokole kończy dzisiejsze przesłuchanie. Wracam na celę i już zupełnie odprężony, zasypiam. Przed 24-tą budzą mnie i tą samą drogą na nowe przesłuchanie. Ten sam jegomość, te same pytania, te same moje odpowiedzi. Tym razem usiłuje zaskoczyć mnie mówiąc, że moi bracia zeznali inaczej. Stara metoda, nie z moimi braćmi! Nie zmieniam odpowiedzi. Wreszcie kończy się ta zabawa i śledowateł oznajmia mi, że będę sądzony za szpiegostwo z § 16/80. "Budiet sud". W tym spotkaniu z sowiecką sprawiedliwością uderzyła mnie jedna rzecz, nie związana bezpośrednio ze sprawą. Przed rozpoczęciem przesłuchania śledowateł spytał mnie, czy znam język rosyjski. Odpowiedziałem, że nie. "A ukraiński?" Odpowiedziałem, że rozumię, chociaż nie mówię. "Dobrze powiada" ja będę mówił po ukraińsku" i zaczyna "a piat" po rosyjsku. W tym też języku odbywały się przesłuchania. Na tym więc polega równość języków w sowieckim systemie.

Sroda 29.V.- niedziela 9.VI.1940 r.

Wobec zakończenia śledztwa znalazłem się w kolejce opuszczających celę. Zaczynam oszczędzać chleb, przygotowując się w ten sposób na "etap". Trzeba dużo siły woli, by odmówić sobie codziennie części podstawowego posiłku. Czeka mnie droga, o której nikt nam nic nie może powiedzieć. Ze starych onuc wojskowych szyję sobie "sumkę" na drogę. Pożyczona igła, zrobiona z kawałka drutu miedzianego, z przemyślnie wyślubioną w nim dziurką oraz nici sprute z jakiejś szmaty dokonują dzieła.

Poniedziałek 10.VI.1940.

Oszczędności moje przedstawiają już poważny kapitał : na półce leżą trzy pajki chleba, po 60 dkg. każda. Leżą i kuszą mnie. To moja stała udręka. Trzeba się przemóc, żeby nie naruszyć żelaznej rezerwy z takim trudem zdobytej, a bez której trudno ruszyć w "etap". Po południu słychać jakiś ruch na korytarzu. Wywołują nazwiska i wyprowadzają ludzi z cel. Kogo dziś od nas zabiorą ? Otwierają się drzwi. "Kto zdzieś na bukwu B.?" Podaję swoje nazwisko. "Sobierajsia z wieszczami" Uściskiem dłoni żegnam się z pozostającymi w celi. Celę nr. 59 opuszcza dwóch więźniów. Biorę mój woreczek i wychodzimy na korytarz. Tu już stoją długie szeregi. Są też moi trzej bracia. Co za radość ! Po 36 dniach rozłąki znów w kupie. Odbiły się te dni na ich wyglądzie. Napewno myślą to samo, patrząc na mnie. Dzielimy się wrażeniami. Manek opowiada, jak go złapał strażnik przy "czytaniu" miski, na której znalazł moje nazwisko, jak go wyciągnął na korytarz i bił go tą miską po głowie. Prowadzą nas piętro wyżej, jak się okazuje, do dawnej kaplicy więziennej, zamienionej obecnie na salę etapową. Do wieczora znalazło się w tej kaplicy 180 więźniów. Zanim sala zapełniła się, rozglądamy się po ścianach, na których jak tylko sięgnąć można było, wypisane są nazwiska tych, którzy nas tu poprzedzili. Znalazłem z Tarnopola : Jędrzaka, Kowalskiego i Ludka Sosińskiego, który już poprzednio uwiecznił się w Nadwórnej. Zajmujemy we czwórkę miejsca pod krótszą ścianą, niedaleko drzwi. Chodzi o przewiew, spowodowany otwieraniem drzwi, co jest bardzo ważne w czerwcu, w tym zatłoczonym ludźmi miejscu, kiedy na dworze jest już dobrze ciepło. Układamy się do snu. Na sali rojno i gwarno.

Wtorek 11.VI - czwartek 4.VII.1940.

W kaplicy okna są zabite deskami. Okropnie mało powietrza. Nie ma przechadzek, do łaźni nie prowadzą. Kiedy podnoszę się z mojego miejsca, by przejść, wśród leżących ciasno ciał, do paraszy, kręci mi się w głowie, a przed oczyma latają czarne płatki. Jak tak dalej pójdzie w tym tempie, to niedługo będzie koniec. Jedzenie coraz gorsze. Wydzielają chleb nieregularnie. To już nie chleb, to glina. Straszny brud i zaduch, pot leje się strumieniami. Zaczyna nam dokuczać potówka. Ciężko swędzi, nie pozwala zasnąć. A przez ustęp /"uborna"/, przychodzą co raz gorsze wiadomości ze świata. Znajdujemy, w tym okienku na świat, strzęp gazety z przed paru dni. Z niego dowiadujemy się o losach wojny. Naprzód przyszła wiadomość o "przyłączeniu" Bukowiny do ZSSR. Bukowińcy ucieszyli się, myśląc że teraz wypuszczą ich. Szybko strażnik pozbawił ich złudzeń, gdy dobijali się do drzwi z pytaniami, kiedy wyjdą na wolność. Z następnego skrawka gazety dowiadujemy

się o cofaniu się armii francuskiej przed naporem niemieckim. W dwa dni po wkroczeniu Niemców do Paryża, strażnik otwierając drzwi oznajmij nam triumfująco "Francja pizdoj nakryłaś". Autentyczne. Najgorszy dzień w moim życiu! Teraz już chyba koniec? Nie ma dla nas ratunku. Cios jest tak bezwzględny i mocny, że trudno się pozbierać. Na chwilę ogarnia mnie zniechęcenie, bliski jestem załamania. Wokół słychać lamentsy i wyrzekania. To działa na mnie jak podcięcie konia batem. Otrząsam się z apatii, jakiś głos w duszy mówi mi, że to niemożliwe, żeby Niemcy wygrali wojnę. Coś musi się stać, co zmieni losy wojny. W celi nastrój jak na pogrzebie. Wszyscy stali się drażliwi. Odzywają się głosy, że Hitler wygra wojnę. Niewielu z nas jest innego zdania. Po chwilowym załamaniu spotęgowała się w nas wiara w ostateczne zwycięstwo dobrej sprawy, wiara w Opatrzność. Bóg nas w tych ciężkich chwilach nie opuści. Nasza czwórka rozchodzi się do dyskutujących grup, by podnosić na duchu. Powoli nastrój ulega zmianie na lepszy.

Na tle podziału jedzenia dochodzi do ciągłych starć z Bukowińcami. Strażnicy faworyzują ich i Karpatorusinów, wydając im zawsze zupełną w pierwszej kolejności. Nie żałują im repety. Gdy my dochodzimy do kotła, okazuje się, że trzeba dolać zimnej wody, żeby wszystkich obdzielić choć trochę, co już nie przypomina zupy. Najgorsi wśród Bukowińców są trzej rumuńscy Żydzi. Jeden z nich, Meier, zna trzy polskie słowa: "Mam Polskę w dupie". W odpowiedzi na to robi się mętlik. Żydzi krzyczą, Bukowińcy walą do drzwi i wzywają strażników, krzycząc, że ich mordują polskie pany. Interwenują strażnicy. Trudno sobie wyobrazić większe upokorzenie od tego, jakiego my doznajemy na każdym kroku od tej ciemnej hałastry. Ach, żebyś ty wpadł w moje ręce - myślę sobie w mej bezsilności. Ci trzej Żydzi dali znać o sobie jeszcze raz, gdy przy układaniu się do snu, odwracali się wtykając brudne nogi pod nosy Polaków. Żał mi się zrobiło starego policjanta z Doliny, Grossa, któremu Meier uprzyjemniał w ten sposób sen. Gdy spokojne argumenty nie przemawiały do niego, by się ułożył tak, jak wszyscy, wybuchłem, mówiąc: "Ty jeszcze zdechniesz na moich rękach!"

Z rozmów prowadzonych w kaplicy dowiedziałem się od kolejarza z Kołomyi o procesie gimnazjalistów kołomyjskich, którzy zawiązali tajną organizację harcerską. Na procesie zachowywali się odważnie i z godnością. Szczególnie jeden harcerzyk 15-letni zapisał się w pamięci uczestników tego procesu swoją odpowiedzią. Na pytanie sędziego czy mieli broń, odpowiedział wiedząc twierdząco. „A ile”, spytał sędzia. "Na was wystarczyłoby!" padła odpowiedź.

Pewnego dnia rozchodzi się plotka, że będą nas wywozić. Wszczęło się gorączkowe pakowanie. Następnie zaczęliśmy śpiewać patriotyczne pieśni. W odpowiedzi na nasz śpiew rozpoczął się szum i krzyk w całym więzieniu.

Wpadają NKWDowcy i pogroźkami kończą naz "wyjazd".

Wobec co raz większych oszustw przy podziale chleba,urządzamy strajk głodowy,odmawiając przyjęcia posiłków. Co chwila wpada inny,za każdym razem, z wyższym stopniem bolszewik,by pertraktować z nami. Nie rozmawiamy indywidualnie a tylko z grupy trzydziestu,mocno ściśniętych, odpowiada za każdym razem inny ze strajkujących,niewidoczny dla strażników,że nie zgadzamy się na ich warunki.Bukowińcy i Karpatorusini oczywiście nie strajkują. Trwa to cały dzień.Grożą nam i proszą.Kotły wracają zspod drzwi na korytarz nie ruszane. Jednak pod wieczór kilku starszych panów zgłodniało i podeszło do kotła.Tak załamał się nasz strajk. Kilku z brzegu zabierają do karceru,a wśród nich Kasię,którego wskazali Bukowińcy.

Co raz więcej ludzi zapada na jakąś chorobę.Jednego wieczoru zabrano 10 chorych do szpitala.Następnego dnia znów kilku wyprowadzili na chwiejnych nogach.Coś się zaczyna dziać,bo do kaplicy wpadają strażnicy,wyrzucają nas na korytarz i przeprowadzają dezynfekcję,bielą ściany i otwierają okna. Golą nas skrupulatnie,z czego wnosimy,że wybuchła epidemia tyfusu. Tego nam jeszcze brakowało.Po tych zabiegach spędziliśmy jedną noc spokojnie,nic nas nie gryzło.Wydawało się,że rozstaliśmy się z wszami na dobre,ale złudzenie trwało krótko.Na drugi dzień zaczęły od nowa trzaskać na naszych paznokciach grzbiety tych,milusińskich."

Piątek 5.VII.1940.

Kończę 22 lata. Na urodziny Zbyszek podarował mi plłasterek kiełbasy, pochodzący z "peredaczy",jaką otrzymał jeden z miejscowych więźniów. Do tego doszła jedna truskawka,którą dał mi uczeń stanisławowskiego gimnazjum,Wild. I on dostał "peredacze".Wszystkie te pyszności podzieliłem na cztery części i tak rodzinie przeżyliśmy rocznicę moich urodzin.

Sroda 10.VII.1940.

Po odczytaniu długiej listy nazwisk,wyprowadzają nas na parter.A więc etap.Idą długie szeregi wynędzniałych postaci w wymiętych ubraniach.Na dole ostatnie formalności,sprawdzanie,rewizja i łaźnia.Pakują nas do ogólnej celi w suterynach,gdzie oczekujemy następnego ciągu na tej więziennej szachownicy. Niesamowicie gorąco.Jest nas tylu,że możemy tylko stać. O śnie nie ma mowy. Wreszcie w nocy wyprowadzają nas na podwórze, ładują na zakryte samochody i wiozą ulicami pograżonego we śnie Stanisławowa na rampę kolejową,gdzie czeka na nas długi ciąg wagonów towarowych z zakratowanymi oknami. Przechodzimy środkiem szpaleru NKWDówców,uzbrojonych w karabiny z nasadzonymi bagnetami/"sztykami"/.Pojedynczo wprowadzają nas do wagnów.Zamykają nas po 32 w wagonie.Cały transport oświetlony reflek-

torami. Na pierwszym wagonie z dala widoczny karabin maszynowy a dookoła, eszałonu¹ mnóstwo NKWDzistów z ujadającymi psami. Przewóz ludzi z więzienia trwa całą noc. Są wśród nas kobiety. Już w wagonie po zapoznaniu się między sobą, dowiaduję się o ponownym wprowadzeniu sześciodniowego tygodnia pracy z wolną niedzielą. Skończyły się pięćdniówki z szóstym dniem wolnym. Nieuniknione w takich sytuacjach wymieszanie ludzi jest dla nas źródłem informacji.

Czwartek 11.VII.1940.

Stoimy na rampie. Obok przebiega droga. Chodzą nią Stanisławowianie i szukają swych bliskich w transporcie. Co chwila wybucha ktoś płaczem. Odnaleźli się! Patrzymy na to przez kraty okienek wagonu, patrzymy na te zapłakane kobiety. Jakżeż smutne są twarze żegnających. My z tej strony muru więziennego nie przeżywamy tych chwil tak boleśnie, jak ci co pozostają. To naprawdę krzyżowa droga Stanisławowian. Ileż-to razy będą tu jeszcze przychodzić, by żegnać odjeżdżających w nieznane. Przetaczają nasz "eszałon" na dworzec kolejowy i pod wieczór ruszamy. Staliśmy na pierwszym torze tak, że mogliśmy widzieć sowieckich oficerów w restauracji kolejowej nie umiejących sobie poradzić z widelcem i nożem. Jedziemy przez Kałusz i Stryj do Lwowa. Na to wskazują odczytywane po drodze tablice z nazwami stacji, już malowane cyrylicą. Na widok naszego transportu, zatrzymują się ludzie na drogach i kreślą za nami znak krzyża. Tak nas żegna nasza ziemia. Kołyszą się łany zboża, mienią się złotem w słońcu, aż serce rwie się w nas na taki widok i żal, że tych żniw nie zobaczymy w Polsce.

Zatrzymują transport w Skniłowie pod Lwowem. Obok torów bawią się chłopcy przyglądając się naszym twarzom, wychalającym się z za krat okienka. Na migi nawiązujemy z nimi kontakt. Zrozumieli. Napisałem parę słów o sobie i o braciach na adres Krysi we Lwowie, zawijam papierek w kulkę z chleba i czekam, aż strażnik w swym obchodzie, minie nasz wagon. Rzucam kulkę, która ląduje obok stóp chłopaka. Podniósł, rozwinął papierek, kiwnął na znak zrozumienia. Dziękuję mu. Może wiadomość o nas dotrze do domu.

Niedziela 14.VII.1940.

Wieczorem zatrzymaliśmy się na dworcu kolejowym w Tarnopolu. Był to chyba drugi lub trzeci tor od strony ulicy Puntscherta. Transport wcisnięty pomiędzy innymi, nie rzucający się w oczy. Mój wagon niedaleko kładki. Widzę, że wzdłuż transportu idzie kolejarz. Poznaje go, to Mucha z domków kolejowych. Rzucam mu wprost pod nogi przygotowaną kateczkę. Podniósł, nie patrząc na wagon. i odszedł do naszego domu w linii powietrznej tylko 50 m.! Łaskawy sen zmorzył mnie tak, że gdy przebudziłem się, mój

Tarnopol był już daleko za nami. Nie rzuciłem okiem pożegnalnym na moje miasto rodzinne, może to i lepiej? Jedziemy w kierunku granicy polsko-sowieckiej, do Podwołoczysk. Jest jasno. Przy torach pracują ludzie. Kładą drugi tor, drugą linię, której my nie zdążyliśmy położyć w ciągu naszych 20-lat. Mijamy znane mi stacyjki, jedną po drugiej, wreszcie ukazują się graniczne Podwołoczyska. Stoimy tu krótko. Ruszamy ku Zbrucowi, naszej granicznej do 17.IX.1939 rzeki. Stoją jeszcze nasze szopy biało-czerwone, nienaruszone. Brak tylko polskiego żołnierza przy nich. Miejsce jego zajął jakiś Kałmuk z czerwoną gwiazdą na czapce. A więc jeszcze jest granica! Godzina 10-ta rano. Łzy napływają do oczu, ściśnięte szczęki aż bolą. Modlę się, o co, nie wiem, nie zdaję sobie sprawy z tego, poprostu automatycznie szepczę słowa modlitwy "Pda Twoją obronę..." Pociąg wolno się toczy po granicznym moście. Pod nami przelewa się Zbrucz. Cisza, jakaś uroczyta cisza panuje w wagonie. Nawet jadący z nami w wagonie Karpatorusini zamilkli, jakby czuli, że stało się coś ważnego. Przekroczyłem nie tę granicę, którą zamierzałem i jadę nie w tym, co chciałem kierunku. Wjeżdżamy na stację w Włoczkyskach. Jesteśmy w państwie komunistycznym, o którym tak wiele nasłuchaliśmy, żyjąc niedaleko od granicy oddzielającej nas od nich. Jakiś dreszczyk przechodzi wzdłuż kręgosłupa, ale z ciekawością patrzę na ludzi z... raj. Biednie ubrani, w kaloszach zamiast trzewików, spojrzenia ostrożne, odwracające się od strażników i transportu, z bochenkiem chleba bez opakowania pod pachą. Na peronie same mundury.

Czwartek 18.VII.1940.

Nie wiemy dokąd jedziemy, a właściwie dokąd nas wiozą. Minęliśmy Płoskirów, Koziatyn. Nie widać ani jednej porządnej wsi. Domy odrapane, zapadające się, wrastające w ziemię. Płoty powalone. Zaorane olbrzymie połacie, bez jednej miedzy. To te osławione kokchozy. Widzimy ludzi. Wszyscy do siebie podobni, niemal identyczni. Biednie ubrani, z nieodłącznym dla tego zdaje się krajobrazu, bochenkiem chleba pod pachą. Taką widzimy Ukrainę, spichlerz Europy. Po trzech dniach podróży po Sowietach, zatrzymujemy się na jakiejś stacji. Dowiadujemy się, że to Humań. Na myśl przyszła rzeź humańska. Podjeżdżają samochody wypełnione milicjantami i NKWDzistami. Są więc reżyserzy, zacznie się odwieczny w tym kraju ceremoniał. Ładują nas i wiozą ulicami miasta. Załadowani jak śledzie w beczce. Miasto położone na górze. Ulice brukowane kocimi łbami. Domy zaniedbane, przypominające dawne dworki otoczone ogrodami i sadami. Szeroka ulica, gdzie niegdzie sklep, przed którym długa kolejka wyczekujących. Na chodnikach wschodni Żydzi, niektórzy z nich krzyczą w naszą stronę "Jadą polskie pany".

Wszędzie szaro i martwo, jedynie te okrzyki zdają się ożywiać naszą drogę przez miasto. Zatrzymujemy się przed więzienną bramą. Więzienie pamiętające Katarzynę „Wielką” Ładacznicę. Tu więziono m.i. Tarasa Szewczenkę. Ogarnia mnie uczucie lęku. Tyle się naczytałem na temat czerezwyczajki i więzień sowieckich. Stają mi przed oczyma Butyrki z okropnościami tam popełnionymi. Sołówki. Odświeża się lektura Sołowieicza „Rosji w obozie koncentracyjnym”. Czy wyjdę kiedyś żywy z tych murów? Przyjmuje nas naczelnik ospowaty z sępm wyrazem na twarzy. Potęguje się mój nastrój. Każe nam iść na palcach i zachować ciszę. Z jednej strony lęk, a z drugiej strony śmiesz mi ten pochód na palcach i ciągłe „ts, ts, ts” naczelnika. Dopiero później zrozumiałem sens tego dziwnego ceremoniału. Chodziło o to, by więźniowie w celach nie wiedzieli o tym, co dzieje na zewnątrz. Wydaje się, że schodzimy do grobowca. Patrzymy na siebie: co nas tu czeka. Sprawdzają dokumenty i fotografie. Zamykają nas w celach przejściowych zanim nastąpi właściwa segregacja według ich jakichś tam wzorców. Wpadam do celi w suterynie o nr. 44. Stare gmaszysko, mury grube. W oknach zardzewiały kraty, nazewnątrz osłony drewniane pozwalające widzieć tylko skrawek nieba. Rozmawiać można tylko szeptem. Co chwilę otwiera się judasz, w którym tkwi oko strażnika. W celi wilgoc, zaczyna mnie boleć głowa. Razem ze mną jest Wacek, pozostali bracia rozrzućeni po innych celach. Wacek też nie wygląda najlepiej.

Sobota 20.VII.1940.

Niewesołe są moje imieniny. Łeb mnie boli okropnie. Wacka zabrali do szpitala.

Niedziela 11.VIII.1940.

Po powrocie Wacka ze szpitala, zorientowali się, że jesteśmy braćmi, zabrali go do innej celi. Jak mama obchodzi swoje imieniny? W celi naszej życie płynie normalnym torem. Czasem ostrożnie wyglądam przez okno i patrzę na świat. Straszny żal targa duszą. Ze świata poprzez latrynę dochodzą do nas co raz gorsze wieści. Skąd ta nasza wiara w lepszą przyszłość w obliczu ciągłych niepowodzeń naszego alianta? Rozprawiamy o naszym losie. Jeżeli chodzi o najbliższą przyszłość, to wydaje się, że wywiozą nas w głąb Rosji i tam żyć będziemy jak wygnańcy po poprzednich powstaniach. Wśród nas nie ma więźniów sowieckich. Jak narazie jesteśmy wyizolowani z sowieckiego świata, stąd ta nieświadomość dalszych naszych losów.

Piątek 30.VIII.1940.

Wśród wywożanych wieczorem jestem i ja. Każą zabrać rzeczy. Nie wiem o co chodzi. Sprowadzają nas do kancelarii więziennej i pojedynczo wprowadzają do jakiegoś gabinetu. Przychodzi kolej na mnie. Wchodzę. Za stołem siedzi ktoś w mundurze NKWD. Przed nim sterta papierów. Sprawdza nazwisko i zaczyna odczytywać... wyrok, jak się okazuje, wydany przez osławioną "trojkę". Zaoczny, skazujący mnie na 5 lat w "trudowo-isprawiłnych łagieriach". Czytający z pod oka obserwuje mnie, widocznie chce zobaczyć jakie wrażenie wywrze na mnie ta kara. Ja stoję spokojnie, aż się sam dziwię swojemu opanowaniu. Mój "sędzia" nie ukrywa swojego zaskoczenia. Pyta, czy będę apelował. Jedyną moją odpowiedzią jest wzruszenie ramionami. "Rozpiszysia". Mówię, że nie umiem po rosyjsku. "Piszy po polskie". Kładę swój podpis po polsku. Jeszcze raz pyta, czy nie mam czego do powiedzenia. Ja na to ironicznie "dziękuję". I tak po kolei osądzono nas wszystkich. Teraz wyprowadzają nas, jako osądzonych, do innej celi. Idziemy ze strażnikiem i śmiejemy się z tej procedury i wyroków. Strażnik przywołuje nas do porządku, wreszcie pyta czego Polaczki takie wesołe. My wybuchamy jeszcze głośniejszym śmiechem. "Zawsiem zduryli Polaczkowie". Po chwili, już w celi, wchodzi Manek ze Zbyszkim, potem Wacek i wreszcie Mietek Rembisz. Wszyscy dostaliśmy po pięć lat.

Sobota 31.VIII.1940.

Dziś przynoszą nam porcję chleba "pajkę" 700 gramową. Tyle należy się skazanemu. Dotychczas dostawaliśmy po 600 gr. Wyraźny zwans w karierze więziennej. Niedługo cieszyliśmy się tym "dobrobytem", bo w nocy zabierają nas wszystkich z celi. Część ładują na samochody i wywożą.

NIEDZIELA 1.IX.1940.

Mnie przypadło maszerować piechotą przez miasto. Wszędzie ludzie przystają na nasz widok. Patrzą za nami, mówiąc "Etap idiet". Idziemy przez wstrętne odrapane miasto. Na stacji kolejowej załadowali nas do "stołypinki" (specjalnie w Rosji skonstruowany wagon pasażerski) przeznaczony do przewożenia więźniów, który można doczepić do normalnych pociągów. Nie wiem dlaczego mi przypadł ten zaszczyt. Wiozą i nie wiemy dokąd. Siedzimy w przedziale, jest nas 15. Przedział mały, z początku drżymy z zimna po to, by za chwilę oblewać się potem z gorąca. Chce się pić, bo nakarmili nas śledziami, a z wypuszczeniem nas do ustępu nie spieszy się wcale "nasz" konwojent. Całe szczęście, że podróż w tych warunkach nie trwała długo.

Poniedziałek 2.IX.1940.

Z dala wylania się duże miasto. Domyslamy się, że to Kijów. Wjeżdżamy na duży dworzec kolejowy i rzeczywiście napisy na tablicach potwierdzają nasze domysły. Oglądam z ciekawością ludzi na peronie. Wygląd ich i zachowanie sprawiają wrażenie, że znalazłem się na przedmieściu prowincjonalnego miasteczka, a nie^w stolicy dużej republiki sowieckiej. Odłączają nasz wagon i przetaczają na rampę, Tu nas wyładowują wprost do czarnych "woronów". Trzydziestu ludzi formalnie dusi się w małym pomieszczeniu samochodu. Wszyscy stoimy przyklepieni jeden do drugiego. Pot leje się strugami. Trudno złapać powietrze w sprasowane płuca. Samochodem rzuca niemikosiernie po kocich łbach. Słyszymy dzwonki tramwajów. Widocznie jesteśmy w śródmieściu. Za chwilę wjeżdżamy w bramę więzienia, wypuszczają nas z "wrona". Wysiadamy, a nogi uginają się pod nami, jeszcze chwila takiej jałdy, a myślałem, że będzie koniec. Jesteśmy w znany w Rosji więzieniu "Łukianowskim", zbudowanym przez Katarzynę Wielką. Budynki układają się w dużą literę "E". Po pewnym czasie znaleźliśmy się w celi przejściowej. Odrapane ściany. brud, smród, niechlujstwo. Kładziemy się na gołej, zimnej, kamiennej podłodze. Jest nam wszystko jedno, byle tylko zasnąć.

Wtorek. 3.IX.1940.

Nad ranem wprowadzają nas do większej celi zbiorczej. Pierwsze moje zetknięcie się z sowieckimi więźniami. Pełno typów z pod ciemnej gwiazdy. Lombroso znalazby tu potwierdzenie swoich teorii. We mnie odezwała się żyłka prawnika. Wmieszałem się w ten tłum i zacząłem rozmowy. Patrzą na nas zspode łba, ale podziwiają nasze ubrania, nazywając nas "polskimi panami". Ten termin towarzyszyć już nam będzie przez wszystkie więzienia i łagry tej nieludzkiej ziemi. Nie są to jednak jedyne określenia, kierowane pod naszym adresem. Uczymy się bogatego rosyjskiego słownictwa. Soczystego i wymyślnego. Nasze ubrania, chociaż mocno zmaltretowane przez ostatnie 5 miesięcy, budzą powszechne zainteresowanie w tym tłumie, głodzonym przez 20 lat panowania rewolucji. Dotykują naszych ubrań. Cmokają z zachwytem. Napastują każdego z nas, by się z nimi "pomieniat". Na tej, jedynej w swoim rodzaju giełdzie, ceny kształtują się rozmaicie. Chusteczka do nosa, ogólny przedmiot pożądania, przedstawia wartość jednej pajki chleba i kawałek cukru. Nie paliłem się do wymiany, pomimo głodu skręcającego kiszkę. Nie chciałem sprzedać, więc znaleźli sposób. Nawet

nie zorientowałem się kiedy znikła mi z kieszeni chusteczka i to w towarzystwie drugiej. Przeważała złodziejska krew u tych "karmańszczyków". Odrębną grupę w tej mozaice ludzkiej tworzą młodzie przestępcy miejscy tzw. "żulicy". Twarze młode, ale wstrętne i odpychające, już napiętnowane zbrodnią. Każdy z nich wytatuowany do ostatniego skrawka skóry swego ciała. Tworzą grupy zorganizowane i terroryzują wszystkich pozostałych. Kradzieże i pobicia na tej celi są zjawiskiem powszechnym. Druga grupa to kołchoźnicy. Ludzie w zasadzie niewinni, których motywem "przestępstwa" był głód. Skradzione zboże lub tylko pomidor z kołchozowego gospodarstwa kosztuje trzy lata. Są tacy, wśród nich, którym zarzucają kontrrewolucję. Cie nie odnoszą się do nas nieżyczliwie. "Parzą nas nawet czymś bliskim do sympatii, pomieszanej z pezdniem i szacunkiem dla naszej "inności". "Wot kulturny narod" to termin jakim nas obdarzają.

Po południu pełnym wrażeń ze spotkania z nowym dla nas światem, przerzucają nas do tzw. "korpusu peresylnego". Mnie przypada cela nr.67. Brudno tu i ciemno. Okna wychodzą na ścianę budynku więziennego oddaloną dosłownie 1/2 metra. Podłoga kamienna, przy drzwiach stoją parasze, niemilosiernie cuchnące. Cela przepełniona ludźmi wynędzniałymi. Dla Manka, Wacka, Zbyszka, mnie i Mietka Rembisza przypada miejsce przy suchotniku, wypluwającym resztki płuc dokładnie w twarz leżącego przy nim Mietka Rembisza. Spotykamy na celi kilku Polaków, którzy tu trafili grubo przed nami. Wprowadzają nas w stosunki tu panujące i ostrzegają przed określonymi żulikami, którzy już nas obmacują pożądanymi spojrzeniami. Są to przeważnie ludzie starsi i już tym pobytom w więzieniu przygaszeni i nawet zrezygnowani. Życie w celi układa się na granicy beznadziejności. Jesteśmy terroryzowani przez "żulioł" i systematycznie okradani przy podziale pożywienia. Co raz bardziej upodabniamy się do widm. Ciągłe kradzieże, pobicia i ogólne bójki bez żadnej interwencji "pobłażliwych" strażników z początku nas wyprowadzają z równowagi poddańczej i reagujemy, ale czas robi swoje : tępiejemy i obojętniejemy. W czasie snu, w jednym z pierwszych dni pobytu na celi, dobierał się do mojego worka jakiś żulik, ale odpędził go Polak z Kamieńca Podolskiego. Chłopisko na dwa metry, jeszcze nie zjedzony pobytom we więzieniu. Wdaliśmy się w rozmowę. Opowiadał mi, że u nich pod Kamieńcem Podolskim na wioskach krążyła wśród ludzi "Trylogia" sienkiewiczowska, ręcznie przepisana. On ją też czytał. Mówił o wielkim głodzie 1933 roku na Ukrainie o wypadkach kanibalizmu, o aresztowaniach Polaków w r.1936. W krótkich dramatycznych obrazach, opowiadanych głosem spokojnym, prawie obojętnym, przesunęła się przed oczyma moimi straszliwa tragedia Polaszczyzny, tuż za naszą przedwojenną granicą. Jakby zapatrzony w siebie, bznamiętny

Kresowiak snuł swe opowiadanie piękną polszczyzną. Dziwna rzecz, ale ta rozmowa z nim o historiach niemalże beznadziejnych, jakim przecież było wyniszczenie Polaków, którzy tam trwali od I rozbioru, postawiła mnie na nogi, otrząsnąłem się z apatii sączącej się z murów więzienia Łukianowskiego. W drugim kącie wielkiej sali, gdzie ulokowała się najstarsza grupa Polaków, siedział wąsaty / chyba oficer przedwojenny / je-gomość, który całymi wieczorami opowiadał, dobrym rosyjskim językiem, "Trylogię" Sienkiewicza. Słuchany był z nabożeństwem nawet przez żu-lików. Z pośród więźniów sowieckich zwrócił mą uwagę b. oficer sowiecki, który, jeżeli mu wierzyć, gdy dowiedział się, że ja jestem z Tarnopola, opowiedział mi historię swojego pobytu w piwnicy "Dwójki", mieszczącej się w wili zajętej przez "Dwójkę" przy ul. Mendla. Nie wiem czy się chełpił, w każdym razie wyglądało na to, że stamtąd uciekł.

Wtorek 10.IX.1940.

Wywołują naszą grupę humańską w komplecie na etap. Opuszczają celę 67. ale beze mnie. Ja pozostaję z niewiadomych powodów. Mocno się cażujemy i żegnam swych trzech braci z "... nie papominajcie, że tam w domu na nas czekają!" Sam jeden wśród zupełnie obcych ludzi. Wkrótce zabrali również mego ziomka z pod Kamieńca Podolskiego. Snuje się dzień za dniem. Cela znów zapełniła się. W tej mojej samotności zbliżył się do mnie kapitan marynarki sowieckiej Gruzini. Już przedtem zwrócił moją uwagę, gdy w dyskusji z Rosjanami przypomniał im, że gdy Gruzini tłumaczyli biblię na język gruziński to Moskale jeszcze nie schodzili z drzewa.

Potówka i egzema nie pozwalają mi zasnąć. Wprawdzie moja egzema nie umyła się do Zbyskowej, ale nie mniej jest dokuczliwa. Nie wiem jak sobie Zbyszek radzi teraz. Pojechał w takim stanie, że do spodni lepiły mu się całe kawały skóry z materią. Nie mogąc wytrzymać, zacząłem w nocy walić do drzwi. Po interwencji strażnika przyszła sanitariuszka-żydówka. Spojrzała na mnie / miałem wtedy zapuszczone wąsy / i z "Niczewo ciebia, nie budiesz Piszczki" trzasnęła drzwiami. Nie mogąc znieść Swędzenia, zacząłem znów walić w drzwi. Tym razem przyszła Ukrainka, która nie miała złości do Piłsudskiego, dała mi maść i chwilowo ustąpiło przykre uczucie. Okazało się, że do egzemy dołączył się świerz. b.

Czwartek 26.IX.1940.

Wywołują mnie na etap. Ku zdziwieniu wszystkich w celi, wychodzę sam. Spro-wadzają mnie do znanej mi już celi przejściowej. Na ścianie znajduję wypisane gwoździem nazwiska moich trzech braci i Mietka Rembisza. A więc przynajmniej oni są razem. Rewizja, sprawdzenie, samochód więzienny - to

wszystko znajome aż do znudzenia, Eszaon^v, ryba słona, czarny chleb i woda. Ostatecznie nic nowego, tylko twarze uczestników tego korowodu zmieniają się. Porządek ten sam. "Porządek" w znaczeniu "kolejności rzeczy". Przejeżdżamy przez most na Dnieprze. Zdała widoczna Ławra Peczerska. Pociąg jedzie wśród ukraińskich pól nie przeciętych mie- dziami. Zatrzymujemy się w końcu na jakiejś stacyjce, której nazwy nie udało mi się odczytać.

Piątek 27.IX - sobota 28.IX.1940.

Nieżyn. Pędzą nas przez małe miasteczko, środkiem którego biegnie szeroka ulica. Na rynku-bazarze kilka cerkiewek, oczywiście bez krzyży. Zaciśnięte domki, otoczone ogrodami przypominają przedmieścia Tarnopola. Wyrasta przed nami wysoki płot, mocno naszpikowany kolczastym drutem z czterema wysokimi, wyżkami^v na rogach. To napewno dla nas. Otwierając gościnne wrota, zasłaniające od ulicy szereg bataków. Wprowadzają nas do baraków. Tutaj zupełnie inne towarzystwo. Nie ma zwyrodniałego elementu przestępczego z miast, są ludzie ze wsi, z kołchozów skazani "po ukazu" na jednoroczny odpoczynek^v w łagrze, a raczej więzieniu. Jestem dla nich zjawiskiem z innego świata. Jeszcze ubranie, choć mocno podniszczone, ale odróżnia mnie od nich. Wdaję się w rozmowy z nimi. Jest dla mnie objawieniem sympatia, z jaką ci Ukraińcy mówią o Polsce. Mówimy w swoich językach i zupełnie dobrze rozumiemy się. Łączy nas nienawiść do wspólnego wroga, u Ukraińców silniejsza, bo starsza. Mają za sobą głód 1933 roku. Cała dzień schodzą na rozmowach. Jest wśród nich wielu Polaków, nie mówiących już po polsku, ale garnących się do polskości. Polska to słowo mające dla nich swoją wagę.

Sobota 28.IX.1940.

Wieczorem wywożują mnie i jeszcze kilku więźniów. Na podwórzu czeka już grupa kobiet. Okazuje się, że są to same Polki. Mają nas zabrać z tego "peresylnego punktu", gdzie trzymają tylko z wyrokami do trzech lat. Więzienie w Niżynie na uboczu, niewielkie, spokojne. Jedzenie lepsze, o czym przekonał się przy kolacji, którą nam rozdawała Polka z przyniesionego kotła. Zobaczywszy mnie inaczej ubranego, zorientowała się, że jestem jej rodakiem, więc zanurzyła głębiej cheochlę do kotła. Dostałem smakowitego ziemniaka, dawno nie widzianego. Niestety nasz pobyt w Nieżynie skończył się szybko. Za dobrze się tu zapowiadało, żeby mogła trwać.

Poniedziałek 30.IX.1940.

Ładują nas do stołypinki^v i z powrotem do Kijowa. Dzięki bałaganowi panu-

jącemu w sowieckich więzieniach, udało mi się zwiedzić ten spokojny zakątek Ukrainy, który zawsze kojarzyć mi się będzie z dobrymi ukraińskimi kołchoźnikami i smakowitym ziemniakiem, zaserwowanym ręką Polki.

Wtorek 1.X.1940.

Jesteśmy "abratno" w Kijowie. Przegłodowaliśmy cały dzień, bo w czasie podróży niczego nam nie dali. Kiszki zapomniały o marszach, grając uwer-turę. Zaprowadzili mnie do tej samej celi, w której byłem poprzednio i spotykam ludzi, z którymi niedawno żegnałem się. Niezbyt to przyjemne uczucie wracać tam, dokąd pragnęłoby się nigdy nie trafić więcej.

Sroda 2.X.1940.

Wywołują tylko mnie z celi. Machina więzienna nabrała rozpędu. Okazało się, że po odprawieniu etapu z moimi braćmi, szukali mnie jak zagubionego. Tym razem pojedę chyba dalej. "Stołypinka" wiezie nas przez Dniepr na wschód. Trzeci raz przekraczam Dniepr.

Czwartek 3.X.1940.

"Peresylna tiurma" w Charkowie. Nazywają ją "na Zielonej Górze". Więzienie olbrzymie, teraz przepełnione Polakami. Na ścianie celi przejściowej między setkami, a może tysiącami nazwisk w przemyślny sposób wypisanymi na wysokościach nieosiągalnych z pozycji z wyciągniętymi ramionami, znajduję ślad po moich trzech braciach. Wypisane obok siebie, co oznacza że wciąż jeszcze są razem. Potem zamykają nas po 15 w celach. Spędzamy całe dni na domysłach dokąd nas skierują. Tu już wiemy, że Charków to ostatni etap, olbrzymia rozdzielnia siły roboczej, kierowanej do łagrów, o którym słyszemy różne opinie. Ostatecznie każdy z nas chce jak najszybciej dostać się do tego mitycznego łagru, bo więzienne nudy dały się nam mocno we znaki. Poza tym zbliża się zima, więc jeżeli mamy już tam jechać, to jedźmy nie zwlekając.

Piątek 4.X.1940.

Cały dzień schodzi na przygotowaniach do etapu. Kąpią nas, by natychmiast na więziennym powdórze rozebrać do naga dla przeprowadzenia rewizji. O tej porze roku w Charkowie jest już chłodno. Dopiero wieczorem przyszła moja kolej. Ukazałem swoją szlachetną "chudość", mocno z zimna trzęsącą się i wreszcie do samochodów i przez bramę więzienną pędzimy^z zwrótną szybkością, pustymi o tej porze ulicami Charkowa, na rampę kołgową. Na wagonach wymalowane olbrzymie cyfry, od 1 do, nie wiem jaki jest ostatni numer, w każdym razie mnie przypada nr. 42. Pomnożywszy tylko 42 przez 32/ludzi w wagonie /otrzymamy "załogę" transportu 1344 przyszłych "łagierników".

W wagonie ciemno, po głosach poznaję znajomych, robiących mi miejsce na dolnej narze. Miejsce nieszczególne, przez szpary w wagonie wieje do środka chłodnym nocnym powietrzem. Marznę w moim przetartym narciarskim stroju i dzwonię zębami. Wreszcie rusza nasz niesamowity transport w nieznanym, przynajmniej dla nas, kierunku. Przed domysłami naszymi rozpościerają się połacie olbrzymiego imperium sowieckiego. Żadne informacje nie przenikają od eskorty.

Sobota 5.X. - czwartek 10.X.1940.

Pociąg jedzie stosunkowo szybko. Na stacjach krótkie przystanki. Odżywiają nas tym razem możliwie: 800 gr. chleba, drobne rybki tzw. "tiulki", cebula, cukier i dwa razy dziennie ciepła zupa z kaszy jaglanej. Jak dotychczas, w całej mojej kwaterze więziennej nie odżywiali mnie tak dobrze. Widocznie zależy im na przywiezieniu do łagrów ładunku w dobrym stanie. Zimno z każdym dniem co raz bardziej staje się dokuczliwe. W nocy przytulałam się do leżącej w zimowym futrze i zakutanej w koc Prof. Dębskiego, profesora gimnazjum z Kołomyi. W dzień bronimy się przed zimnem dreptaniem w miejscu. Któregoś dnia mijamy Moskwę. Krajobraz zmienia się. Okolice pustoszeje, co raz mniej osiedli ludzkich i co raz więcej lasów. W końcu wokół widać tylko las. Po słońcu orientujemy się, że zmierzamy wprost na północ, a więc nie Syberia, Murmańsk, Archangielsk, Wyspy Sołowieckie? Nikt nic nie wie na ten temat, pozostają domysły. Wreszcie po 5 dniach podróży, zatrzymują nas nocą na jakiejś boczniczy kolejowej, oświetlonej reflektorami. Obok, w cieniu widoczne są długie rzędy baraków. "Wyłazi!", wysiadamy na takie zaproszenie. Woreczek na plecy i dzwoniąc zębami z zimna i trochę z wrażenia, maszerujemy w kolumnie po ja^{kr}chś wykrotach. Po paru minutach marszu wchodzimy za druty. Pierwszy raz pada słowo "zona". Prowadzą nas do baraku. Masa ludzi, szum, hałas, przekleństwa w dosadnej rusczyźnie. Co chwila ktoś krzyczy, że go okradziono. To "żulicy" przystąpili do pracy. Dowiadujemy się, że jesteśmy w Mołotowsku, 50 km. na zachód od Archangielska, nad samym Białym Morzem.

Tej nocy nie dano nam spać. W tym dziwnym systemie urzęduje się najlepiej w nocy, tak jakby chcieli ciemnością nocy pokryć swoje nieczne sprawy. Rejestrują nas, wypełniają jakieś kartoteki, bada nas lekarska komisja. Lekarz, gruby typ, z grubym papierosem zwiniętym z gazety, nawet nie raczy podnieść swego tępego spojrzenia na delikwenta, wpisuje jakąś kategorię pracy do kartoteki. Mnie zakwalifikował do "ciężkiego fizycznego truda". Nie wiedziałem, co znaczy słowo "płotnik" rzucone do mnie. Przytaknąłem. Później wytłumaczył mi ktoś, że to cieśla po polsku. Widocznie lekarze wi zaimponował mój szkielecik naciągnięty skórą. "Ciężki trud!" Uśmieć się można. Po tych urzędowych ceremoniach naganiacze pędzą nas do "bani". Zbudowana z grubych bali. W jednym pomieszczeniu coś w rodzaju szatni. Ciem-

ności usiłuje rozproszyć nikłe światło lampki elektrycznej. Wzdłuż ścian-ławy, na których kładziemy nasze odzienie. Cała szatnia zapchana ludźmi. Ubrania i resztę posiadanych rzeczy naciągamy na kółka z drutu, rozdawane nam uprzednio przez "zakluczonych", pracujących w łaźni. Wyciągamy z woreczków reztki europejskich zabytków w postaci bielizny i jakichś szpargałów, które udało się donieść aż tutaj. Na ten moment czekali "żulicy", kręcący się w tłumie nagich ciał, jak szakale, wyszukujące swe ofiary. Kradną z fantastyczną wprawą. Co chwila rozlega się rozpaczliwy głos "polskiego pana", okradanego w bezczelny sposób. Wołanie na puszczy. Wprawdzie władze łagierne robią rewizje, starając się o zachowanie pozorów, ale zawsze bez rezultatów. Żulicy są świetnie zorientowani w terenie i odebrać im łup jest rzeczą niemożliwą. Grasują więc bezkarnie, bez oporu ze strony ofiar. Jesteśmy zmęczeni, śpiący. Ruszamy się jak lunatycy, oczy nas pieką i powieki same się zamykają. Ten świat przestępczy, w którym mamy żyć, tak nas przeraził, że ogarnęła nas apatia. To, co widzimy jest dla Europejczyka tak zaskakującym i potwornym w swym zezwierzczeniu, że dziwimy się sobie, że jeszcze jesteśmy przy zdrowych zmysłach. Wobec tych obrazów, przesuwających się przed naszymi zmęczonymi oczyma, błedną wszelkie dotychczas czytane opisy i widziane filmy. Chyba piekło Dantego jest ferblówką w porównaniu z tym, czym nas los obdarzył raczej. Wraca strach na myśl, że mamy tu żyć wśród tych ludzi-zwierząt i do tego, niewiadomo jak długo. Ani przez chwilę nie wierzę, że odsiedzę 5-letni wyrok. Nasz los jest uzależniony od przebiegu wojny. Ona nas tu wtrąciła, ona nas stąd wydobędzie. Może wyjdziemy przed upływem terminu wyroku, może posiedzimy dłużej, w każdym razie nie "odsiedzę" tego, na co mnie skazano. Ale, skąd tu znaleźć siły na przetrwanie w takich warunkach???

Tymczasem zapędzają nas do drugiej izby. Tłoczemy się w wąskim przejściu. Zaczynamy upodabniać się do otoczenia, przejmując jego taktykę. Wszyscy rzucają się na drewniane cebrzyki i wyrrywają je sobie. Robimy to samo, co inni. Zmieszaliśmy się z tłumem. Jesteśmy nadzy, więc wyrównaliśmy się, bo przestaliśmy się różnić między sobą, chyba tylko posiadaniem albo nie, tatuażu. Chwilowe to złudzenie. Wybuchają przekleństwa, słychać razy wymierzone w czajeś policzki i plecy przy akompaniamencie "...mac, ty ~~polak~~ polski pan!" A jednak odróżniają nas. Widocznie zdradzają nas twarze, napiętnowane czymś, co działa na nich jak czerwona chusta na byka. Bici i poniewierani na każdym kroku, zdołaliśmy się w końcu jakoś umyć. Dostaliśmy kawałeczek śmierdzącego mydła. Następnie przeszliśmy do trzeciej izby, gdzie wydawali odzież po odwszeniu w "woszobojce". Wszyscy rzucają się na stos ubrań. Znow krzyki i bójk. Powoli przywykamy do tego. Udało się w końcu wyrwać swoje ubranie ze stosu, po którym wszyscy depczą. Ledwo trzymam się na nogach. Wprowadzają nas do baraku. Barak nabity ludźmi.

Nogi uginają się pode mną, a powieki same opadają. Znajduję miejsce pod ścianą, siadam i momentalnie zasypiam, nie troszcząc się o moją "sumkę".

Piątek 11.X.1940.

Rano wydali nam "tałony" na obiad-"użen", śniadanie "zawtrak" i na chleb. Kawałeczek papieru z napisami rosyjskimi, który ma nas karmić przez cały dzień. W naszych warunkach to skarb. Zawijam go w chusteczkę i głęboko ukrywam, bo złodziejska ręka "żulika" potrafi go wyciągnąć z kieszeni. Przed stołówką tłum, wszyscy forsują drzwi, wszyscy chcą wejść równocześnie, podczas gdy w drzwiach zmieścić się może tylko dwoje ludzi, wchodzących bokiem. Głód doskwiera, ale stoimy na boku, nie możemy się rozpychać, bo pięści nasze słabe. W końcu przyszła kolej i na nas. Stajemy w ogonku. Po długim oczekiwaniu doszedłem do okienka. Dostaję w rękę "posudo"-miska zrobiona z puszki po konserwach, a w nim zupa owsiana na śmierzdzącej rybie. W normalnych warunkach świnia odeszłaby od tego, a my jemy z apetytem, godnym pozazdroszczenia i z żalem stwierdzamy, że było mało. Strasznie mało. Łyżki nie mam, więc piję i pomagam sobie skórką chleba. Wokół siedzą głodni ludzie i wprost połykają zupę. Wszędzie rozlega się głośnie siorbanie, przetykane przekleństwami, w świetnie nadającym się do tego, języku rosyjskim. Widok niecodzienny. Uczta głodnych ludzi, na którą z propagandowych malowideł patrzą na nas oczy tych, którzy ten raj stworzyli. Wychodzę głodniejszy aniżeli wtedy, gdy wchodziłem do stołówki. Kręcę się po "zonie". W granicach zakreślonych drutami kolczastymi można się swobodnie poruszać. Nie ma wewnątrz drutów strażników więziennych, nie ma cel. Surogaty swobody : nikt ci nie stoi nad karkiem w ustępie, możesz tutaj korzystać z latryny do woli, Chodzę chodnikami, zrobionymi z desek. Pod nimi woda i bagno, Wokół za drutami las. "Siewier". Wieczorem przy kolacji powtórka scen obiadowych. Rybna zupa i łyżka owsa.

W nocy wywołują nasze nazwiska, formują nas w czwórki, otaczają "striłkami" ze "sztykami" na karabinach i z nieodzownymi psami/ czy ja was kiedy znów polubię, pieski wy moje ?/ i wyprowadzają z "zony". Pędzą nas szybkim marszem. Idziemy drogą zrobioną z bali drewnianych, rzuconych na tundrę. Z boku widać światła miasta. Prawdopodobnie Mołotowsk. Przed nami, w świetle księżycy, rozlewa się jakiś zbiornik wodny, czy może zalew. Trudno w tym świetle rozeznać się. Przechodzimy przez długi most. Zdaje się, że znajdujemy się na wyspie. Po 10-km. marszu, zatrzymujemy się przed jasno oświetloną bramą. Po sprawdzeniu nazwisk, wpuszczają nas za bramę. Teraz biegiem do wskazanego baraku, by zająć możliwie dobre miejsca na narach, niedaleko pieca. Jesteśmy na "I.uczastku". W baraku nary piętrowe.

Wyłazę na górną półkę i zasypiam.

Sobota 12.X.1940.

Toczymy rozmowy na temat norm pracy, wedle których przydzielają jedzenie. Jest to dla nas kwestia tak żywotna, że nam zupełnie przesłania inne sprawy. Jesteśmy ciekawi, jak wygląda ta praca fizyczna, na którą zostaliśmy skazani. Prawdę powiedziawszy, to każdy z nas rwie się do pracy. Bezwzględna bezczynność w więzieniu dała się nam we znaki, bo rozkładała nas moralnie. Tu spodziewamy się zabić pracą wszystkie dolegliwości samotnego życia w celi. Praca ma wpłynąć na poprawę samopoczucia, ma skrócić czas oczekiwania na wolność, a na okres pobytu w łagrze powinna nas pozbawić indywidualności. Poza tym intryguje mnie myśl, czy ja jestem zdolny do wykonania takiej roboty, która by umożliwiła egzystencję w łagrze. Nasłuchaliśmy się już wiele od starych łagierników o normach pracy, o tym jak wiele trzeba wywieźć ziemi, by wypełnić 100% normy, co daje 900 gr. chleba dziennie. Chleb i procenty przysłoniły nam świat. Już wiemy, że "tałon obszczy" otrzymuje się w przypadku wykonania normy poniżej 100%, "udarny" za 100% i "stachanowski" powyżej 100%. Tutaj ludzie dzielą się według kryteriów "tałonów" otrzymywanych rano od brygadzysty. Głód, umiejętnie wykorzystywany przez bolszewików jest motorem pracy niewolnika. Aby przetrzymać - trzeba żyć, aby żyć - trzeba jeść, aby jeść - trzeba pracować, ot i zamyka się krąg bytowania łagiernika.

Nasz stan "prawny" przedstawia się następująco: narazie jesteśmy w tzw. "kwarantannie". Trzy baraki zajęte przez nas, nowo-przybyłych, są oddzielone drutem kolczastym od właściwego "uczastku", do którego wcielą nas po odbyciu kwarantanny. Jeden barak tworzy "otrjad". W baraku mieszka 400-500 ludzi. "Otrjad" ma swoje władze, a mianowicie "naczelnika", "zawchoza", dwóch "nariadczyków" i "dniewalnego". Wszyscy są łagiernikami-przestępcami pospolitymi, zasługującymi na zaufanie NKWD. "Otrjad" dzieli się na brygady z "brygadirem" na czele. Stan brygady jest różny, w zależności od rodzaju pracy, waha się od 12 do 45 ludzi.

/Tu kończą się zapiski prowadzone na bieżąco/g

"Naczalstwo" zaczęło się krzątać przy organizowaniu brygad roboczych. Oczywiście prym w tej akcji wiodli "żulicy". Sami świetnie zorganizowani w rodzaj mafji, orientowali się znakomicie w stosunkach i mieli znajomości wśród zasiedziałych członków administracji łagiernej, zarówno więźniów jak i wolnych. Żulicy mianują się brygadystami /"samozwańcow nam nie nada, brygadirem budu ja!" to była ich zasada/, bo z tą funkcją związany jest

przywilej niepracowania. Do zadań brygadzisty należy wydanie chleba i talonów na posiłki, przed wyjściem do pracy, następnie zaprowadzenie brygady do pracy, oczywiście konwojowanej przez "strilków". W tym czasie gdy niwolniacy pracują, on siedzi przy ognisku ze strilkami, wiodąc rozmowy. Przysłuchując się im z boku, albo w chwili, gdy łaskawie pozwalają nam ogrzać się przy "kastiorze"-ognisku, trudno jest odróżnić jednych od drugich. Soczysta, pięćtowa mowa-żargon łagierna nie pozwala oddzielić od siebie: stróżów od przestępców.

Jakiś chytry cygan upatrzył sobie swoje ofiary w nas Polakach, trzymających się na uboczu, nie spieszących się do powstających przed naszymi oczyma brygad. Postanowił zrobić sobie z nas brygadę dla siebie. Znał trochę język polski, bo był w Polsce przed I. wojną światową. Ja wiedząc od Rosjan-kontrrewolucjonistów o roli brygadzisty, zacząłem więc buntować naszych, żeby się nie dali wyzyskiwać temu cwiniakowi. W jakiś sposób, Cygan dowiedział się o tym i posłał żulika, który mi zagroził, że gdzieś w kącie rozprawią się ze mną. Sterroryzowani Polacy zostali wcieleni do brygady o numerze 227 z Cyganem jako brygadzystą. /I.uczastok Jahryn-łagrów/.

Dnia 13.X.1940 niektórzy Żydzi, pochodzący z Polski, przekupiwszy resztkami odzieży żulików, dostali się do brygad rosyjskich, które nie były dyskryminowane od samego początku, jak to miało miejsce z Polakami. Już wcieleni do tych brygad, tego samego wieczoru otrzymali z magazynu kufajki i watowane spodnie. Nam, Polakom, nie pozwalano wychodzić do pracy we własnych ubraniach, chcąc utopić nas w anonimowości rosyjskich standartowych ubiorów. Naszej brygady nie umundurowali i nie puścili do pracy w mieście, gdzie można było skombinować sobie jakąś dodatkową pajkę chleba. Zabrali nas na brzeg morza, rodzaj plaży, gdzie wylawialiśmy z wody olbrzymie bale i składowali na kupy. Tutaj po raz pierwszy miałem możliwość obserwowania żulików przy pracy. Z wielkim krzykiem podchodzili do kilkumetrowego drzewa, zarzucali na ramiona, zachęcając krzykiem do niesienia, a gdy grupa ruszyła, wycofywali się pojedynczo spod ciężaru tak, że w końcu drzewo spoczywało na ramionach kilku "polskich panów". Nic dziwnego, że dochodziło do wypadków z powodu nadmiernego ciężaru dla pozostałej, zmniejszonej w ten sposób, grupy niosących. Jedną z pierwszych ofiar tego "żulikowego" systemu był młody Potocki, pod którym ugięły się nogi, w wyniku czego upadł wraz z drzewem, na szczęście, nie przyściśnięty nim. Zorientowawszy się w pracy żulików byłem ostrożny w doborze towarzyszy pracy. W tym wysiłku odezwała się egzema. Czudem jak ropa spływała mi z pośladków po nogach, jak lepiły się spodnie do ram. Przy każdym schyleniu pękała skóra, buchała ropa, spływając do butów. Chodziłem sztywny i w czasie powrotu z pracy zostawałem

z tyłu, opóźniając marsz brygady. "Dobrotliwy" strzałek od czasu do czasu podganiał mnie kolbą karabinu. Wreszcie zbawcza brama przed nami. Po wejściu do "zony" strzałek z konwoju oddał nas wartownikowi przy bramie, który nas skrupulatnie przeliczył, nie raz, nie dwa, bo nigdy nie zgadzał mu się stan.

Następnego dnia 14.X.1940 "naczelnik otriada" ogłosił, że można pisać listy do domu. Cóż, kiedy ten przywilej jest trudny do zmaterializowania z powodu braku papieru. Urwałem kawałek papieru z worka na cement. Uszyłem z niego kopertę. Ktoś użyczył ciuczka ołówka chemicznego i w ten sposób spełnione zostały wymogi korespondencyjne XX wieku. Mniej szczęśliwi pisali na korze brzozej. Napisałem do Kazi. Po sześciu miesiącach izolacji od domu zacząłem zastanawiać się, jak on przyjmą ten głos z zaświatów. Po siedmiu latach miałem możliwość dowiedzieć się, że była to rzeczywiście wiadomość o "Za grobu", ponieważ jeszcze w kwietniu pogrzebano mnie i opłakano. Ja tymczasem w kilku obojętnych słowach dałem znać o sobie, nie przestając się bać, by ten list nie przyniósł jakichś nieprzyjemności adresatce. Oddałem list do cenzury i z powrotem na narę.

Wysyłają nas do kopania rowów irygacyjnych i sypania wałów. Norma tego rodzaju, że ani pomarzyć o jej wykonaniu. Coś mi strzeliło do łba, żeby się wypróbować. Pracowałem 12 godzin, dałem wszystko ze siebie. Wieczorem "diesiatnik" zmierzył mój wyczyn i oszacował go na ... 30% wykonania normy dziennej. W pracy całymi dniami stoimy w wodzie po kostki. Z początku usiłowałem od czasu do czasu osuszyć "obuwie" i zagrzać nogi przy ogniu, rozłożonym i obsiadłym przez żulików. Suszyłem szmaty i "czete-zety" /kaptcie z/robione z opon traktorów z Czelabinskiej fabryki traktorów, spięte z tyłu drutem/, ale w końcu poddałem się. Nic to nie pomagało. Na tej robocie zastał nas listopad. Nogi w stawach popuchły. Z początku ~~nie~~ zwracałem na to najmniejszą uwagę, potem zrezygnowany, przestałem. Do pracy i z pracy maszerowaliśmy raczej do lunatyków podobni. Chroniczny katar, już nawet oduczyłem się wycierania nosa chusteczką. Dobry był rękaw, z lepszym skutkiem. Drut "czetezetów" uwierał w nogę. W tym ogłupieniu i apatii nie zapomniałem o różańcu. Odmawiałem go używając palców jako paciorki. Wtedy patrzyłem w niebo. Jak piękny potrafi być wschód słońca na dalekiej północy! Tyle niepowtarzalnych barw. Natura ogołociła tę część Rosji ze wszystkiego, nie zdołała jej jednak pozbawić wspaniałości wschodów i zachodów słońca. Takiego seledynu jak tam, nigdy przedtem i nigdy potem, nie widziałem. W mój różaniec wplatają się inne paciorki, paciorki przekleństw, wypowiedzianych jednym długim tchem przez "strzałków", popędzających nas do szybszego marażu. Dwie różne modlitwy otwierają nowy dzień pracy na dalekiej północy.

Któregoś dnia zbudzony rano / u nas godz. 4-ta / z trudem otworzyłem oczy. Długo przecierałem je bezskutecznie. W nikłym świetle żarówki kolega spojrzawszy na mnie powiedział mi na dzieńdobry, że zaczynam puchnąć. Tak to od niego wyszło, jakby mnie pytał, czy mam zapalić. Na mnie ta spuchlizna zrobiła takie samo wrażenie. Gdzieś tam resztki chęci życia dobijały się, anonsując: "Serce nawala". Spojrzałem na nogi i nie znalazłem żadnej różnicy między kolanami a kostkami. "No, słaby ze mnie męczennik za sprawę narodową" zdobyłem się na auto-drwinę. "Inni dłużej się trzymali" dopowiedziałem sobie z nutką żalu.

Z końcem listopada 1940 przyjechała do łagru jakaś komisja lekarska. Chyba to drwiny, pomyślałem, gdy po pracy, kiedy kleiły mi się oczy ze snu, ustawili nas w szeregu w baraku i kazali rozebrać się. Zacząłem przeklinać moją spuchliznę. Gdy zobaczyłem, że jednak lekarz za biera się uczciwie do pracy i już kilku chudełaków przeznaczył do tzw. "słabosiłki", wstąpiła we mnie nadzieja. Przyszła kolej na mnie. Widocznie, że chęci do życia było dość jeszcze we mnie, bo zacząłem obawiać się o wynik oględzin. Lekarz, starszy pan, powiedziałbym, dystyn-gowany, spojrzął na mnie, na moje opuchnięte nogi i twarz. "Polak?" Na moją twierdzącą odpowiedź, pada deyzja: /Do słabosiłki", na lekką pracę przy zaliczeniu 50% wykonania za 100%. Boże! miesiąc życia przede mną! Okazało się, że to był lekarz moskiewski, skazany za zabójstwo swej niewiernej żony. Moskiewska sława. W łagrze wyrobił sobie mocną pozycję tak, że nie kwestionowano jego orzeczeń. W "San-gorodku" używano nas do prac porządkowych, rąbania trzasek na rozpał. Trzy razy dziennie dostawaliśmy jeść i nieco więcej chleba. Wszystko to przy takim leniuchowaniu musiało wywołać dobre skutki w stanie zdrowia. Obrzęki zaczęły wolno ustępować. Nawet raz wpadła mi dodatkowa pajka chleba, co było wyjątkowym zdarzeniem w tym zawsze głodnym łagiernym świecie. Siedziałem przy stole z Tatarzem, pracującym w zarządzie łagru. Gdy zorientował się, że jestem Polakiem, wstając od stołu, zostawił, niby zapominając, całą pajkę chleba. Zrobił to tak delikatnie i szybko, że nie zdążyłem podziękować mu za gest, który równocześnie był hojnym darem. Wziąłem ją z pewnym zawsty-dzeniem, co mogło świadczyć o tym, że jeszcze całkiem nie zezwierzęciałem. Może to była rekompensata za głowę księcia Henryka, która spadła z ręki tatarskiej pod Legnicą? Z dotychczasowego doświadczenia łagiernego zauważyłem, że Tatarzy odnosili się do nas, Polaków, wyjątkowo sympatycznie.

Dobre szybko minęło, trzeba wracać do brygady. Czuję się tak, jakbym otrzymał drugi wyrok. Znów brud, wszy, tłok i głód. Wokół srożyła się zima. Szalały wiatry północne, usypujące dookoła baraków tak wysokie zasy,

że idąc do latryny trzeba było kopać tunele w śniegu.

Minął miesiąc od wysłania listu do Kazi. Tym razem postanowiłem napisać na neutralny teren, żeby nie komplikować życia najbliższemu. Napisałem do ciotki Stasi w Petrykowie, która, nie nosząc naszego nazwiska, nie mogła być w żaden sposób połączona z moimi rodzicami. Kolegowałem z młodym Ukraińcem z Bukowiny o szlacheckim nazwisku, Berezowski. Napisał mi list cyrylicą, który oddałem do cenzury 13.XII.1940. Zastosowałem tak zawiły szyfr, że obawiałem się o zrozumienie go przez adresatkę. Po latach dowiedziałem się od kuzynki Wiśki, że cicia Stacha zrozumiała i doręczyła list rodzicom.

Z naszej brygady, złożonej z obywateli "bywszej Polszczy" nie mieli wiele pożytku. Mnie nie dali błysnąć talentem "płotnika", zawodu "zadekretawanego dla mnie przy przyjęciu do łagru. Pędzono nas do wyrąbywania pokrywy lodowej, nieraz przekraczającej dwa metry grubości lodu dookoła pali mola, albo też do odśnieżania drogi. Niedaleko widać było coś w rodzaju suchego doku, z którego wynurzały się zarysy budowanej tam łożdzi podwodnej. Na pewno na świecie, żaden wywiad nie wiedział o takiej "stoczni" łagiernej. W czasie odśnieżania tuż przed Bożym Narodzeniem, wysunąłem się trochę od brygady, by spokojnie udawać, że ciężko pracuję; akuratnie wtedy do brygady podeszła jakaś komisja NKWD-owka. Od grupy tych oficerów odszedł jakiś, chyba odpowiednik naszego pułkownika, zbliżył się do mnie. Twarz inteligentna, rysami nie przypominająca Rosjanina. Na moje potwierdzenie, że jestem Polakiem, wypowiedziane po polsku/zawsze w łagrze mówiłem tylko po polsku/, powiedział, bym się trzymał, bo wkrótce wjdziemy na wolność. Mówiono o nim, że nazywał się Orłow. Pomyślałem sobie, że mógł to być Polak, których tak wielu pracowało w NKWD, spadkobierczyni Dzierżyńskiego. Przyznać muszę, że tych parę słów, mimo tego, że wypowiedziane były przez kogoś w nienawistnym mundurze, pokrzepiło mnie.

Straciłem rachubę czasu tak, że o Świętach Bożego Narodzenia dowiedziałem się od popa prawosławnego, Szumskiego, który zaprosił mnie na skromny poczęstunek z tej okazji. Otrzymał kawałeczek margaryny w paczce od swych wiernych. Odsiadywał trzeci już wyrok. Gdy kończył jeden, natychmiast wręczono mu następny. Podziwiałem jego spokojną wiarę. Zawsze zachowywał się godnie, nie korzystał z niczyjej pomocy, chociaż jego współwyznawcy chętnie-by mu pomogli, wyręczając przy ciężkiej pracy. Nie wiem, czy prawosławne święta wypadają w ty samym czasie, jeżeli nie, tym większa chwała popowi rosyjskiemu, który okazał tyle delikatności. Dla mnie były to smutne święta. Gdy w dalekiej ojczyźnie, w tym właśnie czasie zasiadano do skromnego stołu wigilijnego, by połamać się opłatkiem,

ja tutaj brodziłem w śnieżnej zawiei w drodze powrotnej z pracy do łagru. O świątach przypomniał mi skromny dar popa prawosławnego, członka brygady "kontrrewolucjonistów", noszącej nr. 145. Brygada ta zajmowała w baraku nary obok naszych. My w tym czasie nosiliśmy już numer 146. Obie nasze brygady pędzono pod wspólnym, wzmocnionym konwojem do pracy, który nas nie opuszczał nawet w otoczonej drutem kolczastym "zonie". Konwój odstawiał brygady "kryminalistów" tylko do bramy, skąd pod wodzą swych brygadzystów, już bez strzelków, szli do roboty, a nas nie puszczali ani na chwilę. Nie wiem, czy brygada 145 lepiej pracowała od nas, czy też miała jakieś układy z "desiatnikami", w każdym razie oni wyrabiali normy a my nigdy. Z końcem stycznia 1941 obie brygady zostały połączone. Nie wpłynęło to wcale na zaciśnienie stosunków między nami. Z grubsza można by powiedzieć, że inteligenci rosyjscy, a z takich składała się ta brygada, pozostali wierni idei Wielkiej Rosji i patrzyli na nas, jak na obywateli "Prywislanskiego Kraju". Uważali, że "wróciliśmy" na łono Rosji, a że dokonali tego nasi wspólni wrogowie, jakoś umykało ich uwagi. Szczególnie zapalne były moje dyskusje z moskiewskim "zaszczytnikiem" - adwokatem. Raz na jego apodyktyczne stwierdzenie, że Polacy nigdy z łagrów nie wyjdą, odpowiedziałem mu niezbyt parlamentarnie, że on i jemu podobni zdechną w łagrach, a o nas upomni się Europa. Na wspomnienie naszych związków z Europą, omal go szlag nie trafił. Cisnął na mnie trzymaną w ręku deską. Budowaliśmy w tym czasie olbrzymie kesony z grubych bali sosnowych, które następnie zatapiał w porcie. Przy tej robocie zdarzył się wypadek, którego protagonistami byli dwaj Bukowińcy: Rusin imieniem Danyło i Żyd Meier, ten sam ze stanisławowskiego więzienia, który tak ordynarnie zachowywał się wobec starego Polaka, leżącego obok niego, pchając mu swe brudne i śmierdzące nogi pod twarz. Przypomniały mi się teraz moje słowa, wypowiedziane w złości do niego: "Ty jeszcze zdechniesz na moich rękach", właśnie teraz, gdy z dołu, u stóp "riażu" - kesonu, rozległ się okrzyk strzelka, że zabito człowieka. Okazało się, że Danyło, który ciął piłą razem ze mną belkę zrzucił z góry na dół końcówkę odciętą, nie patrząc, czy na dole nie kręcił się ktoś. Dwumetrowa końcówka spadła na głowę Meiera. Gdy zbiegałem na dół, by nieść pomoc, nie wiedziałem kto był ofiarą. Dopiero, gdy uniosłem głowę jej, zobaczyłem, że to był Meier. Skonał na mych rękach.

Pod taki samym dozorem jak nasze dwie brygady, znajdowała się jeszcze jedna brygada rosyjska. Również "kontrrewolucjoniści" / skazani z paragrafu za kontrrewolucję/. Byli to wyżsi oficerowie Krasnej Armii, którym pozostawiono mundury, ale bez dystynkcji. Mieli wysokie wyroki. Stosunki między nami były chłodne, chyba bali się kontaktów z nami, które mogłyby im zaszkodzić w oczach łagiernego NKWD. Przecież wszyscy siedzieli za rzekome powiązania z zachodnimi wywiadami. Nie widać było po nich żad-

nego załamania, żadnego zawodu w stosunku do władzy radzieckiej, która tak bezceremonialnie obeszkła się z nimi. Schludni, czyści, dbający o swój wygląd odbijali korzystnie od reszty rosyjskiego otoczenia łagiernego, łącznie z brygadą 145. Wewnątrz brygady zdyscyplinowani, widocznie uznawali swoje stopnie.

Ten brak rozczarowania do władzy radzieckiej, a ściślej mówiąc, do komunizmu, niezrozumiały dla normalnego człowieka, uderzył mnie jeszcze mocniej u przypadkowo spotkanego w łagrze b. studenta medycyny ze Lwowa, Ukraińca-komunisty, który uciekł do ZSSR. Siedział w Polsce za komunizm, zwolniony na urlop zdrowotny z więzienia, przekroczył granicę sowieckopolską, w drodze, chciałoby się rzec, po nagrodę. Czekąco go rozczarowanie: przesłuchania, więzienie i w końcu łagier. W łagrze już chyba "dachodził". Na pytanie moje, czy wciąż uważa się za komunistę, a jeśli tak, to jak sobie tłumaczy swój pobyt w łagrze? Odpowiedział, że komunistą nie przestał być, a w łagrze znalazł się słusznie, bo opuścił posterunek komunistyczny w kapitalistycznym, a więc wrogim świecie, i za to ponosi karę. Za dezercję. Jak tu rozmawiać z takim człowiekiem stojącym nad grobem? Jak sobie wytłumaczyć ten fenomen? Jedyne wytłumaczenie, co zresztą nie omieszkałem mu powiedzieć, znajduję w tym, że komunizm był dla niego ostatnią wiarą, poza którą nie znajdował już niczego innego.

Styczeń i luty 1941 roku były mroźne. Tylko jeden raz, gdy słupek rtęci przekroczył -35° C. nie wyszliśmy do pracy. Było dużo wypadków odmrożeń, co zazwyczaj kończyło się kalectwem, gangreną i śmiercią. W baraku, tuż przy wejściu, leżeli nieszczęśnicy z podmrożonymi kończynami. Ciało gniło, straszliwy smród wypełniał tę część baraku. Widok tego cierpienia ludzkiego stanowił dla nas, jeszcze chodzących, memento tym groźniejsze, że byliśmy niedostatecznie ubrani i obuci. Czy te osławione "czetozety", które mieliśmy na nogach zasługiwały na miano obuwia?

26-go lutego wezwano mnie do komendy łagru, gdzie z radosnym zdziwieniem dowiedziałem się, że przyszła do mnie paczka. Zawartość jej, wysypa na stole. Widząc bańkę aluminiową, w której ojciec jadąc do pracy zabierał kawę, zorientowałem się od razu, że paczka pochodzi od rodziców. A więc żyją, i co najważniejsze są na miejscu czyli nie wywiezieni z Tarnopola. Widok tej bańki sprawił mi większą radość aniżeli cała zawartość paczki. Przybliżyła mi dom i przemówiła do mnie językiem tylko dla mnie zrozumiałym. Nie pokazali mi opakowania, z którego mógłbym się jeszcze czegoś dowiedzieć: kto adresował, skąd nadano paczkę. Wszystkie te drobne informacje tak ważne dla kogoś, jak ja, oderwanego od domu. Oprócz bańki ze smalcem, były tam białe spodnie z lnianego płótna, półbuty i ciastka. Zestawienie tych

rzeczy było dla mnie bardzo wymowne. A więc list mój doszedł i został tak odebrany, jak ja zamierzałem: "nie martwcie się, nie jest mi tu źle!" Nie zdają sobie kompletnie sprawy z tego, gdzie i w jakich warunkach żyję. Lepiej dla nich. Z jednej strony cieszyło mnie to, a z drugiej - z jaką ironią patrzyłem na białe letnie spodnie i półbuciki, w których można było paradować po tarnopolskim korsie, ale tu w tajdze ?

Kilka dni później przyszedł list od Kazi. Wprowił mnie w zdumienie; opisz mi florę i faunę tych okolic, w których obecnie pracujesz, pisała mi licealistka. Wokół szaleje zima, z nosa mi wiecznie kapie, odmrożone palce i policzki, a ona mnie prosi o opis fauny! Schowałem w woreczku, głęboko na piersi ten list. Gdy będzie ciężko, obiecuję sobie, zaglądnę do niego. Tyle beztroski i ... niewinności bije z niego, że aż działa ożywczo. Dobrze, że nie potrafią wyobrazić sobie, co kryje się pod nazwą łagru.

W marcu przerzucili naszą brygadę do budowy drogi w tundrze. Uprzednio ścięte drzewa rzucaliśmy wprost na zmarzlinę, przez którą przeliera woda. Kładliśmy jedno drzewo na drugie, po oczyszczeniu z gałęzi i tak powstawała droga do nikąd. Widocznie niewiele pociechy było z naszego wysiłku, bo wkrótce zabrali nas do innej roboty. Utworzyli z nas szkolną brygadę ciesielską. Przystąpiliśmy do budowy magazynów.

Rzadko przenikały do nas wiadomości ze świata. Coś zaczęło się dziać z końcem kwietnia. Po powrocie z pracy zapędzili nas śpiących do izby sanitarnej i tam każdy dostał spory zastrzyk przeciw-tyfusowy. Rozeszły się pogłoski, że Niemcy wkroczyli do Finlandii. W czasie pracy na terenie portu, zauważyliśmy wysoko na niebie sylwetki srebrnych samolotów. Striełkowie mówili, że to Niemcy. Jakoś w tym czasie ustały drwiny, przedmiotem których byliśmy my. Dotychczas, gdy prowadzono naszą brygadę witały nas ironiczne okrzyki "Polsza następuje na Niemca". Teraz jakby się to im znudziło. Z łagiernej "poczty" dowiadujemy się, że wszystkich Polaków i kontrrewolucjonistów mają ewakuować z przygranicznego Mołotowska gdzieś daleko za Peczorę, jak mówili, na skład. Stamtąd już tylko do nieba. Gdy wywołali nas na etap dn. 5.V.1941, zdążyłem napisać list do Kazi, w którym, bez owijania w bawełnę, napisałem, że wiozą nas "na skład", że to koniec. Udało mi się przekazać list ukraińskiemu kołchoźnikowi, wychodzącemu na wolność w nadziei, że wrzuci go gdzieś po drodze do skrzynki pocztowej. Do rodziców nie miałem odwagi tak napisać.

Po przeczczeniu nas na peresyłkę, wkrótce powieźli nas, oczekującymi na bocznicy, "stołypinkami" w nieznaną. Ujechaliśmy jakieś 600 km, by znaleźć się na stacji w Wołogdzie. Miejsce zesłania wielu pokoleń

Polaków. Jadąc pociągiem nie mogliśmy doszukać się śladów ich na tej męczeńskiej ziemi. Wsadzili nas do "woronów". Znaleźliśmy się we więzieniu. Przyjmujący nas młody NKWDzista, napewno z komsomolskim stażem, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem i "perebieszczukiem", spojrzał z nienawiścią na "zdrajcę ojczyzny" i powiedział "żałko, czto tiebia nie ubili". Mściwość swą wyładował na liście Kazi, który otrzymałem jeszcze w Mołotowsku. Darł go ze złością na strzępy, chociaż miałem prawo posiadać go, ponieważ przeszedł przez ich cenzurę. Z żalem za listem i z politowaniem dla szowinisty, zacząłem nowy etap więziennej przygody. Po takim powitaniu można się było spodziewać wszystkiego w tym ponurym więzieniu. Nie wiedzieliśmy, czy to etap, czy będziemy tu odsiadywać nasz wyrok. Przyznać się muszę, że po łagiernych trudach, perspektywa odpoczynku w więzieniu była wcale nęcąca. Gdy nas wymieszano z miejscowymi więźniami, dowiedzieliśmy się, że pobyt nasz tutaj będzie bardzo krótki. Rzeczywiście po paru dniach wywołano mnie. Przejazd przez miasto odbył się inną trasą, aniżeli ta, którą przebyliśmy w drodze ze stacji kolejowej. Gdy nas wyładowywano, ze zdziwieniem stwierdziłem, że znajdujemy się na przystani rzecznej. Okazało się, że czeka nas podróż rzeką Suchonią, na której stał zacumowany antyczny stateczek z wielki, dymiącym kominem, a za nim kilka dużych barek. Weszliśmy na barki po pomoście, a po drabinie zeszliśmy na jej dno, gdzie rozciągały się długie rzędy dwupiętrowych nar, obliczonych na kilkuset więźniów. Natychmiast po wpuszczeniu nas, zamknięto klapy tak, że światło dzienne dochodziło do nas tylko przez nieliczne otwory w burtach barki. Wchodząc, zdążyłem zauważyć, że pokład barki był płaski, przy burtach stały posterunki "striełków" uzbrojonych w karabiny z nieodłącznymi "sztykami". W tylnej części pokładu widoczna była latryna.

Tłoczemy się, różnorodny i różnojęzyczny tłum wewnątrz, pod pokładem barki słabo oświetlonej. Przenikały do nas z zewnątrz odgłosy pracy marynarzy. Karmią nas słoną rybą, rzadko wydzielając wodę. Odpływamy w dół rzeki. Zacząłem wierzyć plotkom, rozsiewanym w Mołotowsku, że wywozą nas "na skład", gdzieś za Peczorę. Pod pokładem gorąco i duszno a w nocy wilgotny chłód. Raz, a czasami nawet dwa razy dziennie, wypuszczają nas do latryny, oczywiście pod strażą. Wtedy otwierają pokrywę, przez którą wpada trochę świeżego, wilgotnego powietrza. Prowadzą nas po dziesięciu. Dokucające nam stale pragnienie, staraliśmy się zaspokoić łowieniem wody do garnuszka, opuszczanego na sznurku przez otwór w burcie statku. Striełkowie zabijali nudy uprzykrzeniem nam zdobycia wody do tego naczynia. Przecinali bagnetem sznurek w momencie, gdy garnuszek pełny wody wspinał się po kadłubie barki, ciągniony rękami spragnionych wody ludzi. Sposób na ^{sposób} ~~cały~~. Na wabika

w jednym miejscu spuszczałyśmy garnuszek, podczas gdy w innym miejscu szybko wyciągaliśmy pełny ożywczej wody drugi garnuszek. Ale nie zawsze udawało się dostać łyk, tak zdobytej, wody, bo napóór spragnionych często kończył się rozlaniem cennego napoju.

Po kikkunastu dniach takiego "wojażu", kompletnie wyczerpani i wysuszeni, dopłynęliśmy do przystani. Barka zatrzymała się przy końcu pomostu, tuż przy szalecie, z którego odchody ludzkie płynęły tuż przy burcie naszej barki. Wykorzystując chwilową nieuwagę striełka, spuściłem mój garnuszek i szybko, nim zorientował się najbliższy strażnik, wyciągnąłem go do góry. Połów połowicznie udany, bo wraz z wodą wyłowilem kawałki ludzkiego kału. Nie zraziło to spragnionego: wyrzuciłem ciało stałe, a wodę piłem z rozkoszą. Pierwszy raz od opuszczenia wołogdy zaspokoilem pragnienie. Refleksje przyszkły później, bo łatwiej o nie, gdy coś przestanie dolegać. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w Kotłaskie, leżącym nad Północną Dzwina. Jest to stolica łagiernego państwa, pokrywającego się z autonomicznym okręgiem Komi. Tutaj znajduje się punkt rozdzielczy dla obozów w Workucie i Peczorze.

Kończył się maj 1941. Spędziliśmy w Kotłaskie kilka dni, zanim nastąpiło przetasowanie olbrzymiej ilości łagierników według klucza, znanego tylko NKWD. Spotkałem się tu po raz pierwszy z Wilniukami. Przyjechali prostu z więzień w Wilnie, Święcianach, Wilejce, Głębokim i Nowogródki. Jeszcze w swoich ubraniach, jeszcze odcinający się od szarego tłumu łagiernego. Łakomym okiem spozierali na nich żulicy, ale nic nie wskórali, bo Wilniuki, chłopcy naschwał, trzymali się kupy i solidarnie bronili się przed zakusami rosyjskiej szumowiny. Załadowano nas do wagonów towarowych i rozpoczęliśmy podróż linią kolejową zbudowaną przez naszych żołnierzy wziętych do niewoli przez bolszewików we wrześniu 1939. Po kilku dniach dojechaliśmy do Koźwy nad brzegiem Peczory. Tutaj kończyła się linia kolejowa. Tyle narazie zdążyli zbudować nasi jeńcy. Spotkaliśmy się z Litwinami, Łotyszami, Estończykami i Finami. Od nich dowiedzieliśmy się, że zostali niemal w pośpiechu ewakuowani z więzień w swoich krajach w tym samym czasie, kiedy nas zabierano z przygranicznego Mołotowska. Coś się święciło, tylko nie wiedzieliśmy co. Wszyscy prezentowali się dobrze, szczególnie odbijali od reszty Łotysze, trzymający się oddzielnie. Obóz niewielki. Rozmieścili nas w "pałatkach" /namiotach/, w których znajdowały się prowizoryczne nary, zbudowane z pni młodych drzew, które w czasie snu wżerały się w ciało. Wokół las, a nie ma desek, wszędzie rzucająca się w oczy prowizorka. Na czterech rogach łagru "wyżki", w których straż pełnią "striełkowie" uzbrojeni w karabiny maszynowe. To też coś nowego.

O wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej dowiedzieliśmy się na drugi dzień po tym historycznym wydarzeniu. Zbudziły nas strzały kara -

binów maszynowych i krzyki rannych. Kule bzykały wokół nas, więc schowaliśmy się pod nary. Nasze polskie "pałatki" znajdowały się w ostatnim rzędzie, najdalszym od bramy. Dopiero, gdy wszystko ucichło dowiedzieliśmy się, że na wiadomość o wybuchu wojny, Łotysze zbuntowali się, wyrwali pale z nar i ruszyli na bramę. Wyszedł naprzeciw nich jakiś "komendir" i zaczął strzelać z rewolweru. Na ten znak odezwały się karabiny maszy - nowe z "wyżek". Wkrótce był spokój. Trudno było nam zrozumieć postępowanie Łotyszów; co chcieli uzyskać tym nieprzemysłanym wyskokiem? Z miejsca zaostrzył się stosunek striełków do nas. Równocześnie zaobserwowaliśmy dziwne zachowanie więźniów-Rosjan i innych obywateli sowieckich.

W sprzeczce wynikłej przed stołówką, jeden z żulików powiedział pod adresem Polaków, że jak przyjdą "Germanicy", to oni się z nami załatwią. A więc byliśmy świadkami niezbyt przyjemnej dla nas zmiany orientacji politycznej "radzieckich ludzi". Z jednej strony nienawiść striełków, z drugiej strony zapowiedź porachunku na wypadek zwycięstwa Niemiec. W razie zwycięstwa jednych, czy drugich, tu, w łagrze, daleko od Pana Boga, byliśmy przegrani.

Wkrótce załadowano nas do barek podstawionych na przystani nad Peczorą. Olbrzymia rzeka przejmująca strachem. W podnoszącej się mgle nie widać drugiego brzegu. Ogarnęło mię przygnębienie; jakbym widział Charona zabierającego się do pracy. To już koniec, stamtąd nie ma powrotu. Nawet gdyby tu doszli Niemcy, to i tak przed tym załatwiliby nas żulicy.

Płyniemy Peczorą. Powtórka podróży z Wołogdy do Kotłasu z tym, że teraz jeszcze ciepłej, pragnienie staje się coraz dotkliwsze, a pojawiające się muszki i komary uprzykrzają żywot. Striełkowie źli jak osy, patrzą na nas z nieukrywaną nienawiścią, jakbyśmy byli przyczyną ich nieszczęść, a co najmniej wybuchu wojny. Płyniemy w dół rzeki, a następnie w górę jej dopływu - rzeki Usy. Jeszcze nie koniec mordęgi. Opuszczamy Usę i wpływamy do jej dopływu o dziwnej nazwie Inta.

Wreszcie 5.VII., akuratnie w 23-cią rocznicę moich urodzin, dobiliśmy do bazy. Następnego dnia /trudno tu określić, kiedy tu jest dzień, skoro słońce znika dosłownie na godzinę/ popędziły nas wściekłe striełki jakimiś ścieżkami przez tajgę. Skakaliśmy po kołyszących się na bagnie balach i gałęziach drzew, spod których wytryskała brudna, bagienna woda. Kolumna rozciągnęła się; coraz wścieklejsi stali się striełkowie-konwojenci, a szczególnie ich dowódca, wymachujący rewolwerem i wrzeszczący, że podczas gdy na froncie giną najlepsi synowie radzieckiej ojczyzny, on tutaj musi pilnować zdrajców ojczyzny, niegodnych życia. Pod wieczór usłyszeliśmy huk wystrzału gdzieś na końcu kolumny. Okazało się, że striełok postrzelił Polaka z Warszawy, który już nie nadążał za kolumną. Koledzy wzięli rannego w

w nogę na sklecone z gałęzi nosze i nieśli go jęczącego z bólu, podgania - ni przez "bohaterskiego strielka".

Wreszcie wciął w świetle dziennym, chociaż był późny wieczór, dobiliśmy do "uczastka" Bolszaja Inta. Tu dowiedzieliśmy się o wprowadzeniu 12-godzin- nego dnia pracy i zaostrzeniu reżimu łagiernego. Po wypiciu morza "kipiat ku", padliśmy na ziemię, tam, gdzie kto stał i zasnęliśmy.

O 4-tej rano poderwał nas "podiom". Rozglądaliśmy się po łagrze. Chyba niedawno został otwarty, bo zewsząd wiało prowizorką. Brak baraków, stały tylko "pałatki". Kto wytrzyma północną zimę w tych pałatkach? Po - prowadzono nas przed oblicze komisji lekarskiej. Badała nas sympatyczna pani w średnim wieku. Bardzo grzeczna, aż się wierzyć nie chciało, jak się taka uchowała w tym bandyckim świecie łagiernym? Gdy przyszła moja kolej, spojrzała na moją wychudłą fizis i spytała po rosyjsku na jaką chorobę narzekam? Odpowiedziałem po polsku: na brak wolności. Zrozumiała, uśmiechnęła się i powiedziała, że z takim nastawieniem napewno przeżyję łagier. Podzięko- wałem jej za to. Oboje zachowywaliśmy się tak, jakby nie przestały nas obo- wiązywać kanony europejskiej grzeczności, tutaj za kołem polarnym. Z rozmów z rosyjskimi kontrrewolucjonistami dowiedziałem się, że lekarka jest siostrą Nikołajewa, rzekomego mordercy Kirowa. Po tym interludium sformowano nas w bry- gady i skierowano na "lesopowalke" /Wyrąb drzew/. W czerwcu byliśmy świad- kami dziwnego zjawiska: połączenia się dwóch pór roku w krótkim okresie czasu. Wybuchła od razu wiosna z latem. W Bolszoi Incie znalazłem się a ku- ratnie w środku tego okresu. Zazieleniła się tajga prawie że w oczach, tylko w bagnie stała rdzawa woda, przed korzystaniem z której wszyscy nas ostrze- gali. W krzakach leżały jeszcze płachty śniegu. W południe gorąco, a ro- zebrać się nie można, bo milardy muszek wciskają się nawet pod powieki oczu. Do tego dochodzą chmury komarów. Przed jednymi i drugimi nie chroni nawet dym z mokrych gałęzi specjalnie palonych na ogniskach. Wróciliśmy z pracy do łagru z opuchniętymi twarzami. W sam dzień moich inienin dosięgła mnie gorączka malaryczna, która dosłownie ścieła mnie z nóg na kupę heblowin leżących przy wejściu do baraku. Leżałem tak chyba ze trzy dni, podtrzymy- wany przy życiu podawanym przez kolegów "kipiatkiem". W tym czasie dobie- gała końca budowa pierwszej ziemianki, do której wnieśli mnie Wilniucy. Po tygodniu dołączyłem do brygady, zajętej w "zonie" pokrywaniem ziemianek dachami. Wreszcie wykorzystali moje talenty cieśli. Ledwie opuściła mnie malaria, a już zjawił się szkorbut. Zęby zaczęły się chwiać do tego stop- nia, że miałem trudności z ugryzieniem i tak wilgotnego chleba. Ratowałem się pić "kisloty" /kiszonka z igliwia sosnowego/, której beczka stała przy drzwiach baraku. Przed wyj^ściem do pracy każdy z nas pił ze wstrętem

ale na dobroczynne skutki nie trzeba było długo czekać. Nie wszyscy jednak wychodzili z "cyngi"/szkorbutu/, która bardzo często atakowała cały organizm ludzki. U mnie skończyło się na wrzodach na nogach, inni umierali w ziemiankach bez żadnej pomocy lekarskiej. Dnia 31.VII wróciła malaria w postaci trzydniowego ataku. Jakoś wykaraskałem się z tego, a tu "ponos" /dyszenteria/ położył mnie dosłownie na łopatki. Aby uzyskać zwolnienie z pracy, trzeba było ze starszą panią-sanitariuszką za barak i udowodnić, po zdjęciu spodni, obecność krwi w kale. Z jakim wciąż wstydem ścigałem spodnie, prosząc starą Rosjankę, by się na ten czas odwróciła! Tyle miesięcy katorgi minęło, a człowiek wciąż tkwił w "burżuazajnych przesądach". Zaskoczona i zdziwiona Rosjanka nawet mnie nie "zrugala".

Nie było możliwości podziwiania cudów lata w tajdze. Postaraliśmy się o to muszki. 31.VII. przeniknęła do nas wiadomość, przyniesiona przez gadatliwego striełka, o układzie generała Sikorskiego z Sowietami. Nic się jednak nie zmieniło w traktowaniu nas przez władze łagierne, tylko Łotysze, Estończycy i Litwini patrzyli na nas z zazdrością, uważając, że już wkrótce nas wypuszczą z łagrów. W sierpniu w dalszym ciągu budowaliśmy ziemianki. Pracował ze mną Danyło, trzymający się mnie jeszcze od Mołotowska. Poduczył się trochę polskiego ode mnie. Widocznie spodziewano się nowych transportów więźniów, bo budowaliśmy ziemianki, do których nikt się nie wprowadzał. Wieczorami, wciąż w świetle dziennym, siadaliśmy przed ziemiankami, bo nie można było zasnąć. W jeden z takich wieczorów potężnej budowy, wysoki Estończyk, oficer straży granicznej dostał ataku serca, z którego niestety już nie wyszedł. Zmarł. Wynieśliśmy go poza "zonę", pod "wyżkę" strażnika, pod którą musiał przeleżeć 24 godzin regulaminowych, zanim go nie wyrzucili gdzieś w tajdze, o kilkaset metrów od łagru. Pod koniec września wywołał mnie kolega z ziemianki, by pokazać mi zorzę polarną.

Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem jakieś żółte pasy i nosem uderzyłem w ścianę. Kurza ślepaota uniemożliwiła mi tej nocy podziwianie tego fenomenu na dalekiej północy. Koledzy traktowali tę dolegliwość żartobliwie, twierdząc, że teraz można się dobrze bawić w "ciuciubabkę." bez konieczności zakrywania oczu.

Gdzieś daleko od nas toczyła się wojna. Od czasu do czasu dochodziły do nas nazwy miast zajętych przez wojska niemieckie. Równocześnie dużo propagandy na temat niemieckich okrucieństw, popełnianych na zajętych terenach Białorusi i Ukrainy. Zaczęły wygasać sympatie dla "Germańca", na którego przyjs^{ie}cie, jeszcze tak niedawno tak wielu tutaj czekało. Minął sierpień, nadszedł wrzesień, a w naszej sprawie

cicho. Rosła nasza niecierpliwość. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co oznacza zbliżająca się zima, tutaj za polarnym kręgiem. Gdy mróz skuje rzeki ~~morzem~~ lodem, ustanie transport rzeczny i nie ruszymy się stąd przed czerwcem następnego roku. Ja nie widziałem siebie w drugiej ła-giernej zimie. Rosjanie zaczęli sobie w ordynarny sposób drwić z nas, nie wierząc w szczerść układów politycznych.

W dzień urodzin Matki Boskiej - 8.IX.1941 byłem zajęty okor^{wy}waniem drzew. Przede mną w szeregu to samo robił żulik z Leningradu, Korol, a poza mną w tym szeregu znajdował się Danyło. W pewnym momencie usłyszałem krzyk Danyły i świst przelatującej obok mojej głowy siekiery. Zobaczyłem przerażoną twarz Danyły, który wszystko widział i wściekłego żulika, tłumaczącego się, że mu siekiera wyleciała z ręki. Później wyszło na jaw, że Eisenstein, Żyd z Sosnowca powiedział żulikom, z którymi robił interesy, że ja byłem "prokurorem"/prokuratorem/ polskim. Prokurator wśród żulików to najbardziej znieprawdzone stanowisko w hierarchii sowieckiej. Nic więc dziwnego, że siekiera przeleciała mi mimo ucha. Gdybym był podniósł głowę na krzyk Danyły, prawdopodobnie siekiera nie chybiłaby celu. Mój różaniec i nabożeństwo do Matki Boskiej napewno ocaliły mi życie w Jej Dniu.

Zmienili nam robotę. W cegielni rozrabiamy bosymi nogami glinę. Zaczęły się chłody. Atmosfera wśród Polaków naładowana oczekiwaniem. Widząc braki obuwia w łagrze, o czym świadczyła duża grupa ła-gierników, pozostających w "zonie" ~~zaskakujących~~ po tzw. "bezzutości", wyrzuciłem swoje "cze-te-zety" za druty, w tajgę. Nie wychodzę do pracy. Nie wierzą moim zapewnieniom, że mi ukradziono w nocy moje chodaki, wpakowali mnie do karceru, który jest więzieniem wewnątrz więzienia. Rozebrany do bielizny, zamknięty wśród najgorszej szumowiny ła-giernej, żywiony tylko 300 gr. chleba. Dołączyłem do Łotyszy, z którymi jakoś bronie^{się} przeciw żu-likom. Po trzech dniach wypuścili mnie, wydali "czetezety" i z powrotem do cegielni. Tak przeszedł wrzesień, a my wciąż w łagrze, mimo podpisanego układu.

Naszą polską brygadę zatrzymano przy bramie, gdy 5.XI.1941 wycho-dziliśmy do pracy. NKWD-owiec wyciągnął z za rękawa listę i zaczął wyczyty-wać nazwiska i wywołanym kazał zatrzymać się przy wartowni. W miarę zbli-żania się do końca listy, rosła moja niecierpliwość i, co tu mówić, obawa. Patrzyłem na radośnie uśmiechnięte twarze wywołanych. Jedyne w całej bry-gadzie nie usłyszałem swego nazwiska. Kazano mi dołączyć do innej brygady kontrrewolucjonistów sowieckich i pogoniono do tej samej cegielni. Z roz-paczą w sercu, w ten październikowy ranoek, deptałem glinę przy wtórze re-cho-tu i wyzwisk współwięźniów, wściekłych na Polaków. Natrzęsali się ze mnie

w ordynarny sposób, przy użyciu niewybrednego języka. Traktowali mnie jak kogoś, komu nie udało się uciec przed ioh losem, może sprawiało to im perwersyjną radość i ulgę, a mnie tymczasem kotłowało się w głowie od różnych myśli. Przypomniałem sobie, że przed kilku dniami striełok wyprowadził do tajgi jakiegoś polskiego sierżanta, o którym mówiło się między nami, że był pracownikiem polskiego kontrwywiadu. Po godzinie striełok wrócił sam. Nawet nie troszczono się o wykopanie grobu w zmarzlinie. Pod koniec dnia rozpacz moja osiągnęła zenit. Zmarznięty, wymęczony i głodny wracałem, a właściwie, ciągnąłem nogi w ostatniej czwórce brygady zdążającej do łagru. O zmierzchu przybyliśmy pod bramę "zony" i tu czekaliśmy długo na swoją kolej wejścia za druty. Gdy wreszcie podeszliśmy pod budkę strażnika, po podaniu przez brygadzystę numeru brygady, usłyszałem wykrzykiwane przez strażnika moje nazwisko. Otucha wstąpiła w serce. Gdy podszedłem do niego usłyszałem soczystą wiązkę przekleństw, która była chórem anielskim dla mnie. To nic, że postawił pod znakiem zapytania prawowitość łoża, małoznanego mi z przekazu rodzinnego, pradziadka. Miałem w ręku "obchodnoj list"/coś w rodzaju karty obiegowej/ mógł więc sobie kląć do woli, do mnie dochodziła tylko jedna myśl, nie zostałem zagubiony w tym nieludzkim bałaganie, nie przepadłem. Będę wolny! Striełok kazał mi zabrać swoje rzeczy z baraku i zaprowadził mnie na XII oddział "szachtiorski"/górnicy/, gdzie grupowano Polaków zwolnionych z tej części łagrów, należących do "Workutstroj".

Na drugi dzień stanąłem przed "naczelnikiem", który zanim wręczył mi "udostowiereniye"/zwolnienie z łagru/, zapytał dokąd chcę się udać. Odpowiedziałem, że do polskiej armii. Zaczął mnie przekonowywać, że w czerwonej armii też można bić Niemca. Ja w kółko, że tylko do polskiej armii tak, że w końcu wręczył mi ten upragniony dokument, kierujący mnie do Buzułuka. On już wiedział, że tam tworzyła się Polska Armia w ZSSR i od niego dowiedziałem się po raz pierwszy o tym cudownym fakcie. Ukryłem papier, otwierający mi mi bramy więzienia, głęboko na piersi, pod kufajką i wróciłem do baraku, który już zdążyli ochrzcić "polskim barakiem". W baraku większość stanowili Wilniuchy, z Południowo-Wschodnich Kresów było nas niewielu. Panowała ogólna radość, chociaż już zdarzyły się dwa tragiczne wypadki. Okazało się, że dokument zwolnienia z łagru był niebezpiecznym darem niebios. Stał się przedmiotem pożądania bezwzględnych żulików, którzy nie cofali się nawet przed popełnieniem morderstwa, by go zdobyć i na jego podstawie ująć z łagru. Pierwszą ofiarą stał się nieostrożny Polak, który o zmroku wyszedł do latryny z baraku, mimo ostrzeżenia przez strażnika. Ograbionego z dokumentu,

zginął na dnie latryny, wrzucony do niej przez żulików. Drugi wypadek miał inny charakter. Pewien inżynier, Polak przy aresztowaniu podał narodowość białoruską, myśląc że tu ulży jego losowi. Teraz, jako nie-Polakowi odmówiono zwolnienia. Zrozpaczony, popełnił samobójstwo przez powieszenie. Nic dziwnego, że nie opuszczaliśmy baraku w pojedynkę. W nocy czuwała straż. Byliśmy wewnątrz drutów uwięzieni nienawiścią współwięźniów. Z niezmierną ulgą opuszczaliśmy ten łagier 8.X.1941 wczesnym rankiem, jeszcze przed "podjosem"/pobudką/, by uniknąć ewentualnego frontального ataku żulików. Konwojował nas jeden striełok, bez karabinu, jedynie dla przyzwoitości uzbrojony w duży nagan, zawieszony u pasa. Zdziwiło to nas niepomernie, bo jeszcze nie przywykliśmy do wolności. Oddalając się od łagru, obracałem się do tyłu, by spojrzeć na pozostające za nami "wyżki" i druty kolczaste. Ubrali nas w trochę lepsze kufajki, buszłaki i "czetetzety", by nie robić wstydu naszemu "pracodawcy", którym był "Workutstroj". Aha, dostałem jeszcze 20 rubli, bo resztę należnego zarobku potracili nam za utrzymanie przez cały czas pobytu w Bolszaja Inta. Otrzymaliśmy wszyscy jeszcze jeden wiatyk na drogę od współwięźniów, nie-żulików, zobowiązujący nas do krzyczenia w wolnym świecie o milionach łagierników pozostałych za drutami sowieckich łagrów. Ich błagania i przejmujące "nie zabywajcie" pozostało mi na zawsze, na całe życie w uszach. To słowo rosyjskie wymawiali nadnieprzańscy Ukraińcy, Litwini, Białorusini, Tatarzy, Łotysze, Estończycy, Uzbeki i wielu, wielu przedstawicieli narodowości, ujarzmionych przez imperializm sowiecki, żegnając się z nami.

Gdyby nie to, że szedł z nami striełok, można by pomyśleć, że na wycieczkę szła sobie wesoła, rozgadana grupa młodych ludzi. Szliśmy przez tundrę, przygotowującą się do zimowego snu. Krajobraz niewiele nas zajmował, wszyscy myśleliśmy o dziwnych drogach losu, prowadzących nas w końcu do polskiego wojska. Uparcie wracały myśli o domu, o najbliższych w Tarnopolu, dla których jeden okupant zastąpił drugiego. Wreszcie pod wieczór podeszliśmy do linii kolejowej, doprowadzonej do tego punktu przez jeńców polskich w tym czasie, gdy my byliśmy w Bolszoi Inta. Załadowano nas do wagonu towarowego, w którym nie było ani "pieczki"/pieca/, ani nar, co wskazywało by na niedaleki cel podróży. W nocy zbudziło nas kołysanie, to nasz pociąg toczył się po nierównych torach położonych w tundrze. W ^{Koźwie} ~~Koźwie~~ byliśmy 11.X.1941. Położona nad Peczerą, była głównym punktem rozdzielczym więźniów, kierowanych do "Workutstroju" albo "Peczorłagrów". Tutaj pożegnał nas striełok, a my pojechaliśmy przez Uchtę do Kotłas, do którego dobiliśmy 16.X.1941. Korzystając z postoju, wyskoczyłem do "miasta". Naprzód wizyta

u fryzjera, którym ku memu zdziwieniu, okazała się być kobieta. Radość wolnego człowieka, korzystającego z takiej usługi, została zakłócona widokiem wszy, spadającej wraz z krótkimi włosami z mojej głowy na fryzjerski ręcznik, nie pierwszej czystości, rozłożony na moich barkach. Chciałem ją strącić na podłogę tak, by nie zauważyła tego fryzjerka. Nie udało mi się, a ona skwitowała, to, że ja napewno nie jestem "ruskim", jeżeli na to zwracam uwagę. Mimo tego ogarnął mnie wstyd, nieomylny znak przezwyciężania psychicznego kompleksu niewolnika. Trzeba pamiętać, że zażywałem wolności zaledwie od kilku dni i że niedawno jeszcze tłukłem wszy setkami, a tu nagle takie uczucia, taki powrót do Europy. Za tę Europę byliśmy cholernie znienawidzeni przez współwięźniów - Rosjan, zarówno we więzieniach jak i w łagrach. Oni zawsze podkreślali z przyjemnością, że my nigdy nie wydostaniemy się z imperium rosyjskiego i że Europa nigdy się o nas nie upomni. Oczywiście nie podawali nam tych prawd objawionych w literackim języku, ale w żargonie pełnym "mięsnych" określeń, z których słyną Rosjanie. Wraz z opuszczeniem fryzjerna opuściły mnie "wszawe" refleksje, bo trzeba było wrócić do rzeczywistości i poszukać czegoś do jedzenia. Dopiero następnego dnia mieliśmy dostać chleb na stacji kolejowej od "wojenkomatu", na podstawie dokumentu zwolnienia z łagru. Na bazarze kupiłem dwie marchewki za pięć rubli, bo nic innego nie można było dostać od "babuszek". Po powrocie do transportu, który zatrzymał się przed stacją, rozpaliliśmy ogień i w kociołku ugotowałem marchew. W tłumie zwolnionych łagierników, przy jednym z ognisk, zobaczyłem Jana Myszę, kolejarza z Tarnopola, który warzył sobie "gałuszki" z razowej mąki, wydobytej z dość zasobnego worka. Był wychudły i wyczerpany i sprawiał wrażenie tak zagubionego, że nie poczułem do niego żadnego żalu, że nie zaprosił mnie do wspólnego kociołka, chociaż ślina podchodziła mi do ust. Przypomniałem sobie, ile to przykrości i zawodu politycznego doznał ojciec od tego właśnie Myszy, który wysadził ojca z prezesury PPS w Tarnopolu. Może to był powód jego zachowania wobec mnie? Gdzieś ktoś krzyknął, że podstawiają transport na dworcu, więc wszyscy rzuciliśmy się biegiem w kierunku stacji, odległej kilkaset metrów. Szturmem zdobywaliśmy miejsca w wagonie. Tutaj zawarłem przyjaźń z grupką łagierników, trzymających się razem od wyjścia z łagru. Byli to student Politechniki Lwowskiej Władysław Wesołowski/mieszkający we Lwowie przy ul. Rycerskiej 18./, Kazimierz Stawiarski z Bochni, Kozłowski z Wilna i Władysław Sikora z Brześcia Poleskiego. Z nimi przebyłem całą drogę do Buzułuka.

Opuściliśmy okręg autonomiczny Komi i od Kotłasus byliśmy już w republice rosyjskiej. Pociąg biegł przez nieciekawy kraj i podróż nie dostarczała żadnych wrażeń estetycznych, choćby dlatego, że z zamkniętych

wagonów towarowych nie widzieliśmy zbyt wiele, a poza tym byliśmy zżerani myślą jak zaspokoić głód na tej pustyni, jak zdobyć coś do zjedzenia. Zatrzymywaliśmy się tylko na rozjazdach, mijając stacyjki, na których tłumy bab żegnały swoich mężczyzn, idących na wojnę. Gdy przypadkowo pociąg zatrzymał się na stacji, biegałem wraz z innymi po kapiatok. I tak 17.X.1941 dojechaliśmy do Kirowa, dawnej Wiatki. Dworzec kolejowy obleżony przez tłum ludzi. Nie był to jednak tłum w wyszarżanych cągowych ubrankach, noszonych przez przeciętnego obywatela sowieckiego państwa. Inność jego rzucała się w oczy, bo naszpikowany był dobrze ubranymi kobietami, a walizy nie tłumoki, nie należały do rzadkości. Okazało się, że byli to uciekinierzy z Moskwy, uciekający na własną rękę za Ural. Teraz już na dobre zetknęliśmy się z wojną, która dla nas, z łagrów, odciętych od świata, dopiero tu stała się rzeczywistością. Przecież Niemcy byli w tych dniach bardzo blisko Moskwy, której ewakuacja rozpoczęła się 18.IX.1941. Patrząc na ten tłum, przypomniał mi się nasz polski wrzesień z jego pchnięciem nożem w plecy przez niewiarygodnego kontrahenta paktu polsko-rosyjskiego o nieagresję. Doświadczony o przeżycia więziennie-łagierne, starałem się tłumić budzące się we mnie uczucie "Schadenfreude" na widok niedoli tych tułaczy, którzy nie tak dawno, gdy my byliśmy w podobnej sytuacji, natrzęsali się z nas. Każdy pociąg zjawiający się na stacji w Kirowie był oblegany przez rozgorączkowany tłum uciekinierów. Nikt nigdy nie wiedział kiedy i skąd przyjedzie pociąg i dokąd i kiedy odjedzie. Wszystko było tajemnicą wojskową. Dla nas najbliższa droga do wojska w Buzułuku wiodła na południe przez Kazań i Kujbyszewy a tymczasem spychano nas wraz z "bieżącymi" na wschód, za Ural. W takim bałaganie nikt sobie nie suszył głowy jakimiś tam "Polaczkami", uparcie zdążającymi do mitycznego wojska polskiego. Zdani na siebie, musieliśmy siłą zdobywać miejsca w transporcie opuszczającym Kirow w kierunku Permu. Rozgrzeszając się tym, że jedziemy na wojnę, nie przebieraliśmy w środkach prowadzących do zdobycia miejsca w pociągu, atakowanym przez tłum Moskwiczów, myślących o bezpieczeństwie za masywem uralskim. Ich panika nie udzielała się nam, może dlatego, że nie czytaliśmy gazet z ich enigmatycznymi komunikatami z frontu, które dla nich, znających "szyfr" sowiecki, miały swoją groźną wymowę. Zdobywszy wagon trzeba było pomyśleć o narach do spania, bo podróż zapowiadała się długa. Gdzieś, ktoś znalazł wagon w transporcie, w którym polscy Żydzi zajęli połowę, podczas gdy druga połowa "umeblowana" w przyczepie, była niezajęta. Wzięliśmy się do rozbierania desek, co stało się powodem sprzeczki z Żydami, która wkrótce przemieniła się w bójkę z nimi, krzyczącymi głośno, że skończyła się Polska faszystowska, że ta nowa będzie czerwona. No jak czerwona, to za deski i w nich, w rezultacie czego zalali się czerwoną krwią i usłyszeli, że mają już czerwoną

Polskę. Żydzi pobiegli na dworzec kolejowy i wkrótce wrócili z NKWD-owcami. My w nogi, by ukryć się w innym transporcie. Tylko jeden nie-ostrożny krawiec z Soshowca, wrócił do swojego wagonu, gdzie go Żydzi rozpoznali i wydali NKWD-owcom. Pełni entuzjazmu z odzyskanej wolności, nie zastanawialiśmy się wtedy nad zapowiedzią Żydów o czerwonej Polsce. Takiej w ogóle nie braliśmy pod uwagę. Dopiero późniejszy rozwój wypadków, przypomniał mi incydent z Żydami, którzy okazali się wtedy "wszystkowiedzącymi". Niestety, desek nie zdobyliśmy, ale zaopatrzyliśmy się w oryginalne łóżka, pochodzące z wagonu moskiwskiego. W "umeblowanym" w ten sposób wagonie, ruszyliśmy w dalszą podróż.

Zatrzymani na jakimś rozjeździe stanęliśmy obok transportu wojkowego zmierzającego w przeciwnym kierunku. Roznieciliśmy szybko ogień tuż przy naszym wagonie, by zagrzać wodę. Nagle rozległ się krzyk nadbiegającego wartownika. Kazał nam natychmiast zgasić ognisko, bo obok w transporcie wojskowym wieźli materiały wybuchowe. Zrejterowaliśmy szybko, zanim wywiązała się większa awantura. W Permie okazało się, że głód był mocniejszy od strachu przed ucieczką pociągu, i wypędził mnie na miasto wraz z kolegami. Penetrację naszą zaczęliśmy od zaplecza dworca kolejowego. Myśl była słuszna. Kuchnia restauracyjna miała okna wychodzące na tył dworca kolejowego, a na nich leżały jagnięta, gotowe do wrzucenia do kotła. Podczas, gdy dwóch z nas zabawiło kucharkę rozmową przy jednym oknie, trzech pozostali "ściągnęli" bez wyrzutów sumienia, kawał jagnięcia, z którym szybko zniknęli. Szczęście było podwójne: było mięso i nie uciekł nam pociąg. Przed odjazdem zdążyliśmy ugotować mięso na ognisku, roznieconym obok transportu. Tory kolejowe w Rosji w tym czasie upstrzone były takimi ogniskami i ekskrementami ludzkimi. Jedno drugiemu nie przeszkadzało w tej wojennej scenerii zaplecza. Z Permu skierowano nas na wschód i przez Pierwouralsk, po przekroczeniu Uralu, znaleźliśmy się w Swierdłowsku, dawnym Jekaterynburgu. Poza nami została geograficzna Europa. Wydawało się, że jesteśmy skazani na oddalanie się od celu, do którego tak uparcie zdążaliśmy. Tu jeszcze większe tłumy nie tylko wypełniły pomieszczenia dworcowe, lecz także plac wokół dworca. Perspektywy na szybkie wydostanie się stąd w dalszą drogę były nikłe, ale to nas nie zniechęcało, bo nabraliśmy już doświadczenia w polowaniu na transporty i miejsca w nich. Nic nie jechało narazie w stronę Czelabińska, więc zaryzykowaliśmy wypad do miasta. Wprawdzie było daleko za frontem i do tego za ścianą Uralu, ale z jedzeniem nie było wcale lepiej. Znaleźliśmy jedynie ziarenka słonecznikowe. Z takim zakupem wstąpiliśmy do kina z ciekawości i dla zabicia czasu. Weszliśmy po ciemku i w miarę posuwania się

do wolnego krzesła, czułem że moje stopy grzęzną w czymś szeleszczącym. Szedł film o jakimś taborze cypriańskim. Gdy wzrok przyzwyczaił się do tego półmroku, stwierdziłem, że łapcie moje ugrzęzły w grubej warstwie wyplutych przez widzów skorupki po ziarenkach słonecznikowych. Na drugi dzień, po nocy przespanej na posadzce wśród tłumy gnieźdzących się na stacji pseudo podróźnych, rano, jak oślnienie, zobaczyliśmy na peronie polskiego żołnierza z białą-czerwoną opaską na ramieniu. "Wybuchła" nam Polska za Uralem, przybierając postać polskiego kaprała w wyszarzonym płaszczu polowym, pamiętającym wrzesień 1939 r. Zajmował się formowaniem transportów polskich, kierując je do bazy w Tockoje. Wobec tego, że nie chciał nas wziąć do tego mitycznego transportu, postanowiliśmy jechać na własną rękę, chociaż żal nam było rozstawać się z widokiem polskiego orzełka na czapce żołnierskiej. W nocy udało się nam wskoczyć w bieg na brek ostatniego wagonu jakiegoś pociągu jadącego w kierunku Czelabińska. O świcie okazało się, że był to transport wojskowy. Gdy oficer sowiecki dowiedział się, że jedziemy do wojska polskiego, zostawili nas w spokoju. I tak 27.X. 1941 dojechaliśmy do osławionego Czelabińska, w którym znajdowała się fabryka traktorów "Czelabiński traktornyj zawod/, ojciec chrzestny naszych łapci łagiernych. Wałęsając się po mieście, trafiliśmy na bazarze na fotografa, który na poczekaniu zrobił nam zdjęcia. Od opuszczenia łagru minęło 3 tygodnie, więc twarze nasze straciły trochę surowości, a niektórym nawet wypłynął ślad uśmiechu na, nabrzmiałe od działania mrozu, twarze. Dzięki temu że z Czelabińska główna fala uciekinierów udawała się na wschód, w głąb Syberii, poprawiły się znacznie nasze możliwości podróźowania na południe, z powrotem do europejskiej części Rosji. Po długim oczekiwaniu nadjechał jakiś pociąg pasażerski. Szczyt marzeń w naszych warunkach spełnił się dzięki interwencji sowieckiego oficera z "wojenkomatu", który niewiedomo jakim kaprysem kierowany, wsadził nas mimo protestów konduktorki do pociągu, do wagonu z miejscami "twardymi". Ostatni etap podróży przez Troick, Kortajły, Orsk do Orenburga odbyliśmy niemal w luksusowych warunkach. Pasażerowie trochę oglądali się na nasze łagierne stroje, ale nas to wcale nie peszyło, wręcz przeciwnie zachowywaliśmy się z pewną fantazją. Mijając Orsk pozostawiliśmy za sobą południową część Uralu, a 30.X. 1941 wjechał nasz pociąg na stację Orenburg. Znow w Europie. Z Orenburga już było niedaleko do naszego utęsknionego, nieznanego Buzułuka. Na stacji słychać było co raz więcej nawoływań w języku polskim. Setki "przebierańców" szturmowało pociąg osobowy, jadący do Kujbyszewa, w którym nasza paczka wcale wygodnie siedziała w przedziale. Przed chwilą spotkałem na peronie kolegów z Tarnopola: Pawła Paliświata, Władka Rubina i Władka Nakonecznego, napróżno starających się wejść do pociągu, bronionego przez nieustępliwe

konduktorki i żołnierzy uzbrojonych w karabiny. Tuż przed odjazdem pociągu przebiegł korytarzem naszego wagonu podoficer polski, wołając głośno, że szuka trzech żołnierzy z "Batalionu Dzieci Lwowski", którzy gdzieś mu się zagubili. Za chwilę wracał, nie znalazłszy zguby. Błysnęła mi genialna myśl: powiedziałem jemu, że widziałem na peronie trzech jego żołnierzy i prędko wyskoczyłem, by skierować trzech Tarnopolan do wspomnianego podoficera. Tak "Batalion Dzieci Lwowskich" odzyskał zagubionych trzech żołnierzy, a że mieli inne nazwiska, kto w tym bałaganie mógł na to zwrócić uwagę? Ledwo zdążyliśmy wsiąść do pociągu, gdy ten ruszył.

1.XI.1941 byliśmy w Buzułuku. Wzdłuż zatrzymującego się pociągu biegli chłopcy w harcerskich czapkach. /skąd oni je wzięli?/, wykrzykując polecenie skierowane do Polaków, by natychmiast wysiadali. Z wagonów zaczęli wysypywać się zdziwieni Polacy, przecież pociąg jechał do Kujbyszewa, a po drodze było Tockoje i Tatiszczę, miejsca organizowania się dwóch dywizji. W pociągu został tylko oddział "Lwowskich Dzieci" wraz z Nakonecznym, Paliświatem i Rubinem. Do kłębiącego się na peronie tłumu ochotników do polskiego wojska zwrócił się ktoś w mundurze z białą-czerwoną opaską na ramieniu informując, że trzeba jechać na południe, gdzie formuje się wojsko polskie. Jęk zawodu wyrwał się z setek piersi umęczonych ludzi, którym się wydawało, że już dobili do portu swych nadziei. Z naszej grupy Wesołowski, Sikora i Stawiarski pojechali do Tockoje, a ja z Kozłowskim wysiedliśmy i nie mieliśmy zamiaru podróżować na południe tym bardziej, że miałyśmy skierowanie do Buzułuku. Wyminieliśmy posterunki naszej żandarmerii i udaliśmy się w poszukiwanie koszar. /Beata Obertyńska, autorka "W domu niewoli"/ była w grupie, która 15 dni przede mną dotarła do Buzułuka. Cały transport, który nawet nie zatrzymał się na stacji, pojechał na południe. Czytając jej wspomnienia w 46 lat później, przeżywałem te okropności, które ona poznała na własnej skórze i dostawałem gęśniej skórki na myśl, czego oszczędził mi los, wspomagany moim uporem/. Buzułuk był miastem rejonowym, typowym rosyjskim o niskiej zabudowie. Liczył około 30000 mieszkańców. Odległy od Kujbyszewa o 140 km. W tym czasie Kujbyszew był siedzibą rządu sowieckiego, bez Stalina który podobno został w Moskwie. Od przechodniów dowiedzieliśmy się, gdzie mieścił się sztab Armii Polskiej. Był to stylowy budynek, sprawiający wrażenie jakiegoś pałacyku przedrewolucyjnego bogatego kupca. Przy tej samej ulicy, nieco dalej, wznosiły się zabudowania, do których skierował nas wartownik z sztabu. Na widok biało-czerwonej flagi zrobiło mi się jakos miękko koło serca. Znów dumnie powiewająca, chociaż daleko od Ojczyzny, nasza ukochana.

Stanęliśmy przed bramą, nad którą widniał napis "Ośrodek zapasowy nr.1."
A więc dobiliśmy mimo wszystko do celu. Odetchnąłem z ulgą, za chwilę stanę się żołnierzem Rzplitej !

Nie wiedziałem, bo i skąd, że Buzułuk pękał w tym czasie w polskich szwach i że tu już nikogo nie przyjmowano. Przekroczyłem bramę i przez podwórze wszedłem do kancelarii, skąd właśnie wychodził taki sam łagiernik, a za nim leciał autorytatywny głos : "Do Taszkentu". Nic więc dziwnego, że i mnie chciał porucznik, siedzący za stołem, spławić krótkim : "Do Taszkentu!" Zanim przyjdę do mojej reakcji na takie "dictum", muszę wspomnieć o stanie ducha w jakim się w tej chwili znajdowałem, wchodząc do kancelarii, gdzie mnie czekał konflikt z przedstawicielem tak wymarzonego i upragnionego przez nas w łagrze, wojska polskiego. Rozpad polskiej państwowości przeżyłem we wrześniu 1939 r. w Tarnopolu, leżącym na drodze do osławionych Zaleszczyk. Po szoku wywołanym wkroczeniem bolszewików do Tarnopola, w pierwszych miesiącach okupacji, w naszych bolesnych rozmowach o przyczynach klęski i upadku państwowości polskiej, wśród winnych umieszczaliśmy również oficerów, których niemało paradowało po Tarnopolu już od 5.IX.1939. Widzieliśmy ich w towarzystwie żon. Nie brakło pudeł na kapelusze i piesków. We więzieniach i łagrach w dyskusjach obarczaliśmy winą całe starsze społeczeństwo. Zadra głęboko tkwiła w sercu. Cierpienia wysublimowały nasze uczucia, naszą miłość do Ojczyzny, której postanowiliśmy służyć bezinteresownie i walczyć o nią, nie oglądając się na nagrody. W naszym przekonaniu /nie widzieliśmy wtedy jeszcze o Katyniu/ oficerowie trafili do obozów jenieckich, w których traktowano ich zgodnie z konwencją międzynarodową, więc reżim nie był tak surowy jak w naszych łagrach. Oni pierwsi zaczęli wychodzić z obozów, już z końcem września 1941. Przebywali w obozach we własnym środowisku, niewiele zmienili się na lepsze. Przynieśli ze sobą wszystkie te wady do organizowanego przez nich wojska. Nie pojęli tego, że to było wojsko ochotnicze, obywatelskie i że nie mieli do czynienia z rekrutami przedwojennymi. Zaczęli urzędować tak, jakby się nic nie zmieniło w międzyczasie. Gdy więc porucznik /jak na złość mówił burczącym "tr"/ w kancelarii spytał mnie poco tu przyjechałem, w pierwszej chwili zdębiałem, a potem wybuchnąłem: "Gdzie pan był, jeżeli pan zadaje takie obraźliwe pytania?" I zaraz "Nie po to przejechałem w poprzek całą Rosję, by usłyszeć od siedzącego w ciepłym pokoju polskiego oficera, że tu nie ma dla mnie miejsca" /widziałem na podwórzu mnóstwo młodych ludzi/ Na nasze poniesione głosy, od stołu stojącego pod oknem podszedł chorąży /później okazało się, że był to ojciec kolegi z RAF-u" i powiedział porucznikowi, że znajdzie dla mnie miejsce w kompanii szkoły podchorążych. Zażegnał w ten sposób awanturę, która, jak sobie później zdałem sprawę, mogła się tragicznie dla mnie za-

-kończyć. Chorąży Bisanz ze Lwowa, gdy dowiedział się, że ja studiowałem na UJK, zaopiekował się mną i wyjaśnił mi wiele spraw, których nie rozumiałem. tłumaczył, że nie było miejsca, że przydział chleba był stale zmniejszany, by wspomóc ludność cywilną gromadzącą się dookoła wojska itd itd. Zaprowadził mnie do dowódcy kompanii szkoły podchorążych, porucznika, który przydzielił mnie do plutonu kaprała Białoszewskiego. Ten wskazał mi ostatnie miejsce na dolnej czteropiętrowej pryczy. Budynek nasz mieścił się w podwórzu ośrodka tuż za studnią. Miał dwie duże sale: w jednej mieściliśmy się my i pluton łączności, a w drugiej, oddzielonej od naszej korytarzem, "gnieździły" się starsze panie z dziewczętami. Później dowiedziałem się, że były to rodziny oficerskie, które spłynęły do Buzułuka ze zsyłki w Kazachstanie. Okazało się również, że szumnie nazwana "podchorążówka" to nic innego, jak "ad hoc" stworzone schroniska dla synów tychże rodzin. Tymczasem dołączyłem w swym żagiernym "mundurze" do rozhukanego bractwa, czekającego przed stółką na obiad. Już w kolejce uderzyły mnie dziwne stosunki tu panujące. Mamusi i ciocie z sąsiedniej sali przynosiły swoim synkom pajki chleba. Większość tych chłopców odzianych jeszcze w europejskie łachy, stawała poponownie do kolejki, po zjedzeniu swej miski zupy, która dzięki temu stawała się co raz rzadsza w miarę zbliżania się do kotła tych z końca długiej kolejki. Oburzyło to mnie i nie omieszkałem w sposób zdecydowany zwrócić kilku z nich uwagę, że okradają kolegów, skoro ilość żywności jest ograniczona. Nie znalazłem odzewu u podrostków. Poparł mnie stojący za mną, również, żagiernik, jak się okazało b. wicestarosta z Kałusza, . Chłoptysie dalej swoje robili, widocznie pewni swojej bezkarności. Zbliżyliśmy się do siebie, Kałuszanin i ja. Dlaczego my, żagiernicy, byliśmy tacy czuli na punkcie jedzenia? Pamiętać trzeba, że jedzenie w żagrze to była świętość: za kradzież chleba można było zabić złodzieja, bez żadnych konsekwencji dla takiego mordercy. Widać było, że ci chłopcy z Kazachstanu lekko przeszli okres zsyłki, gdzie z jednej strony chroniły ich mamy, wyprzedając się z przywiezionych rzeczy, a z drugiej strony nie udało się im uchronić swoje pociechy przed skrzywieniem moralnego kręgosłupa w konfrontacji z okrutym życiem w nieludzkim sowieckim systemie.

Następnego dnia była niedziela 2.XI.1941. Mszę św. odprawił ks. Włodzimierz Cieński. Dziwnym zrzędzeniem losu, do kraju z którego wygnano Boga, przynieśli Go z powrotem polscy wygnańcy. Takie skupienie w modlitwie i tak żarliwie śpiewane "Boże coś Polskę" w poduralskim Buzułuku można było widzieć, słyszeć i przeżyć tylko jeden raz w życiu. Była to pierwsza msza św., w której uczestniczyłem od chwili opuszczenia Tarnopola w dniu 30.III.1940. W rozmowach, po mszy św. wiele dowiedziałem się o dzie- *Falsz*

misyjnej naszego kapelana. Jak w pierwszych dniach chrześcijaństwa, pod okryciem nocy przychodzili do niego prawosławni Rosjanie, przynosząc dzieci do chrztu i prosząc o pobłogosławienie związków małżeńskich. Musiał się dobrze "gimnastykować" żeby uniknąć argusowych oczu naszych "sprzymierzeńców". Nie ustawał jednak, robił swoje...

Tymczasem w tzw. szkole podchorążych dni płynęły na nieróbstwie. Nic się nie działo, żadnych wykładów, żadnych ćwiczeń. Komentowanie plotek przenikających ze sztabu via sala kobieca i czytanie komunikatów z nasłuchu radiowego, wywieszanych na tablicy ogłoszeń w stołówce. Zwróciłem się do Czerwonego Krzyża z prośbą o wszczęcie poszukiwań moich braci Manka, Wacka i Zbyszka, zawieruszonych gdzieś w łagrach. Widząc, że wychodzą "podchorążowie" na przepustki do miasta, zgłosiłem się do raportu. Dostałem, ale mój drużynowy powiedział mi, że utarł się zwyczaj przynoszenia wódki dowódcy. Wódkę można dostać na bazarze. Wyszedłem do miasta i na bazarze kupiłem kawałek ciasta z marchwią i ani mi w głowie było tłoczyć się w kolejce za wódką. Skończyły się przepustki, przynajmniej dla mnie. Powoli wchodziłem w tryby codzienności i zawierałem znajomości, co zaowocowało informacją o możliwości wyrwania się z tego "zastoju" choćby na kilka dni. Właśnie miała wrócić z kołchozu drużyna, która zaopatrywała Ośrodek i sztab w drzewo. Do tej roboty nie było zbyt wielu chętnych, więc zgłoszenie moje zostało przyjęte, chociaż bez entuzjazmu ze strony władzy. Wkrótce okazało się dla czego. W lesie było zimno i ludzie wysyłani na wyręb, musieli być ciepło ubrani. Magazynier niechętnie rozstawał się z "sortami", a mnie trzeba było przemundurować. W końcu dostałem długie buty z dermy, ciepłą kufajkę i watowane spodnie czerwonoarmisty. Pozbyłem się wreszcie łagiernej skóry. Tuż przed wyjazdem drwali na kołchoz spotkałem ubranego w angielski płaszcz i furazerkę naciągniętą na uszy, profesora Stefana Juzwę z Tarnopola. Gdy mnie rozpoznał w tym krasnoarmiejskim mundurze, otworzył szeroko ramiona, wzruszony wołał "Mój adiutant, mój adiutant!". /Gdy we wrześniu 1939 powstała w Tarnopolu Straż Obywatelska, Juzwa został komendantem, robiąc mnie adiutantem. /Pytał mnie o losy swej rodziny, bo był aresztowany przede mną. Po czym opowiedział mi o swoim losie. Obecnie mieszkał w baraku oficerskim tzw. "baraku leśnych dziadków" na terenie Ośrodka. Byli to starsi wiekiem oficerowie, którzy nie nadawali się do czynnej służby w dywizjach w Tockoje i Tatiszczewie. Spytałem go, co oznaczały butelki stojące za oknem ich baraku. Myśleliśmy my, że świadczyły one o dużym pociągu do samogonu lokatorów. Juzwa śmiejąc się, wyjaśnił, że staruszkom nie chciało się w nocy wychodzić do latryny, więc sikali do flaszek i stawiali je na oknie. Proza życia "leśnych staruszków".

Podjechał samochód napędzany gazem drzewnym z charakterystycznym piecem destylacyjnym za szoferką, więc rozstaliśmy się z profesorem Juzwą, który od tego czasu znikł z mojego horyzontu. Pojechaliśmy na kołchoz, odległy o kilkanaście kilometrów od Buzułuka. Samochód wykołysał nas zdrowo zanim dojechaliśmy do wioski pod lasem Zakwaterowano nas w domu starego małżeństwa. Dzieci nie widzieliśmy. Napewno na wojnie. Przyjęli nas usłużnie ale z nieufnością. Ciekawie rozglądałem się po izbie. Żadnych sprzętów. Jakaś ława i olbrzymi piec za zapieckiem. Podłoga wyszorowana do białości, w ciemnym rogu izby poczerniałe od starości ikony. W piecu wygasło, ale dochodził nas z niego zapach czegoś pieczonego, co okazało się dynią. Rozłożyliśmy się na podłodze. Było nas czterech, resztę umieszczono u sąsiedniego kołchoźnika. Na wyrąb drzewa chodziliśmy do pobliskiego lasu dębowego. Nic nas już w tym kraju nie dziwiło, ani okropna bieda kołchoźnika, ani to, że na opał szła wspaniała dębina. W lesie leżał śnieg tak, że drzewa podcinaliśmy dość wysoko od ziemi, mimo ciągłych protestów i gróźb tutejszego gajowego. Przed zmrokiem wracaliśmy do chaty kołchoźnika. Z przywiezionego przez nas suchego prowiantu/chleb, ryby, cukier/ robiliśmy sobie sami posiłek. Widząc, że kołchoźnicy jedli tylko ziemniaki z pieczoną dynią, zaproponowaliśmy im zamiarę łososia i chleba za ziemniaki i dynię. Chleba już dawno nie widzieli, a gdy do ich kipiátku dodaliśmy kawałek cukru, przełamały się lody między nami. "Dobiliśmy" ich kompletnie, gdy przed spaniem uklękliśmy na podłodze, odmawiając wspólnie pacierz. Na drugi dzień rano to nie byli ci sami kołchoźnicy. Znikła nieufność, wyszła na jaw dawna rosyjska dobroduszość. "A nas tak ostrzegali przed wami". Po tygodniu przyjechały samochody po drzewo i po nas. Pożegnaliśmy płaczących kołchoźników i marznąc na otwartym samochodzie jakoś dojechaliśmy do ciepłego Buzułuka.

Wróciliśmy na czas, by wieczorem zdażyć na akademię z okazji rocznicy odzyskania niepodległości. Był to 11.XI.1941. Dziwna to była akademія tak różna od tych szkolnych, nadętych obchodów zapamiętanych przez nas. Od czasu do czasu słyhać było szloch kobiet. Przemawiał generał Władysław Anders. Wysoki, szczupły, opierający się na lasce. Widownia składała się w większości ze starszych kobiet ubranych w to, co zdołały zachować po kazachstańskiej wyprzedaży, trochę "leśnych dziadków", pluton łączności, oficerowie ze sztabu oraz młodzież z kompanii podchorążych.

Po kilkudniowej nieobecności w Ośrodku dowiedziałem ^o wielu plotek przenikających do nas ze sali kobiet : o transporcie żywności z Anglii, o bankietach w sztabie, o przeciekach angielskich konserw na bazar buzulucki. W tym czasie zjawił się w Buzułuku "sierżant" Lopek-Krukowski, który po wkroczeniu bolszewików do Polski, "spłynął" z Warszawy

do Lwowa, gdzie występował, a następnie wyjechał na występy do ZZSR, podczas, gdy my siedzieli w więzieniach i łagrach. Teraz zjawia się w Armii Polskiej jakgdyby nigdy nic, by nas zabawić. Nie bardzo rozumiałem ten liberalizm władz polskich, w osobach wyższych oficerów. Wprawdzie, dostawszy się do obozów jenieckich jeszcze we wrześniu, nie przeżywali upokorzeń sowieckiej okupacji naszej ziemi i nie byli świadkami "wyczynów" lewicowych pisarzy, literatów, artystów i aktorów, którzy natychmiast przyczepili się do rydwanu najeźdźcy, ale to nie tłumaczyło ich politycznej ślepoty. Okazuje się, że niewiele się zmieniło: ulubieniec "Warszawki" mógł służyć kilku panom i to było w porządku.

W tym czasie miał miejsce dziwny wypadek. Z naszej kompanii wyznaczono dwie drużyny: jedna miała być plutonem egzekucyjnym, a druga miała grzebać rozstrzelanych szpiegów niemieckich. Mnie wyznaczono do "grabarzy". Wszystko otoczone było głęboką tajemnicą. Nie uśmiechała mi się ta niewojkowa rola, ale ostatecznie mogłem pogrzebać szpiegów niemieckich. Byliśmy w pogotowiu całą noc, nad ranem zmieniono rozkazy. Wyrok wykonał pluton żandarmerii i zrobił resztę. Z relacji tych, którzy brali udział w tej egzekucji wynikało, że dziwni to byli szpiegowie niemieccy - którzy zdążyli krzyknąć: "Niech żyje Polska" nim padli. Komentarze nasze tłumione były zupackim "nie wasza sprawa". Dopiero później, znacznie później, dowiedziałem się, że chodziło o dwóch młodych ludzi, których złapano przy próbie włamania się do magazynu żywnościowego. Zdarzenie to nie wpłynęło na zmniejszenie się potoku konserw angielskich na buzułuckim bazarze.

Po powrocie z kołchozu wezwano mnie do biura Wydziału Opieki Społecznej. W biurze załatwiała mnie Hela Kokolska, w okresie gimnazjalnym sympatia Manka. Ucieszyłem się jej widokiem, a jeszcze bardziej informacją o Manku i Wacku, którzy znajdowali się w VI. dywizji gen. Tokarzewskiego w Tockoje. Dała mi list od nich i poradziła, bym wystąpił o przepustkę i pojechał do nich. Dnia 13.XI.1941 wsiadłem do pociągu osobowego i po 30 km. podróży znalazłem się u celu mej podróży. W wagonie siedziałem obok sowieckiego majora lotnictwa, który zorientowawszy się, że jestem Polakiem, chętnie wdał się w rozmowę. Powiedział mi, że nasze wojsko wyjedzie do Anglii i że Anglicy nas sprzedadzą. Skąd ten major wiedział 13.XI.1941 co zostanie postanowione na spotkaniu Sikorskiego ze Stalinem w dniu 2.XII 1941 r. ? Pozostanie to jego słodką tajemnicą. Ze słów jego przebijało współczucie dla nas i pogarda dla niecznych Anglików. Odpowiedziałem mu po polsku /zawsze używałem naszego języka w rozmowach z Rosjanami, zarówno

w łagrze jak i "na wolności"/ że nic nam niewiedomo o takich planach. On przypieczętował rozmowę "uwidim", a że pociąg dojeżdżał do Tockoje, wysiadłem, kilka kilometrów od stacji znajdował się letni obóz krasnej armii, w którym organizowała się obecnie VI. Dywizja. Dymy snuły się nad ziemiankami, namiotami i barakami. W tym gąszczu "kwater" z trudem znalazłem ziemiankę, w której gnieździł się mój brat Manek, obecnie podporucznik Marian Blicharski z trzema kolegami-oficerami. Oniemiał na mój widok. Rozmowom, mającym przerzucić most nad czasem rozłąki kijowskiej, nie było końca. Dowiedziałem się, że Wacek leży w lazarecie pułkowym, a o naj młodszym bracie Zbyszku i Mietku Rembiszu nic nie wiedział, o losie rodziców też nic nie mógł powiedzieć. Z mieszanymi uczuciami poszliśmy odwiedzić Wacka. Zapalenie płuc w takich warunkach, bez leków w zimnym baraku, aż się bałem, co ja tam w "san-czasti" zastanę. Wymizerowany Wacek spojrzał pod ramię Manka, pod którym zawsze znajdowała się pajka zaoszczędzonego dla niego chleba, a dopiero potem na mnie, wyłaniającego się z za Manka. Smutne to było przywitanie. Okazało się, że ostatkiem sił dojechał z łagru do Tockoje i tu trafił od razu do lazaretu. Z opowiadania jego jasno wynikało, że on najgorzej z nas wszystkich przeszedł łagierny czas. Ciężka praca w brygadzie poszukiwaczy ropy naftowej, odmrożenia, cynga, kurza ślepotą itd. itd., aż cud, że z tego wyszedł. Na obiad zaprosił mnie Manek do "kasyna oficerskiego", mieszczącego w jednym z nielicznych baraków. Oficerowie byli umundurowani, albo raczej ubrani różnie. Większość w kufajkach, na pewno nie po kasynowemu. Mnie, urodzonego cywila, ogarniał pusty śmiech, gdy patrzyłem na wchodzących do sali oficerów, prężących się na baczność przy wejściu i skłaniających głowę w trzech kierunkach. Było w tym coś patetycznego i równocześnie śmiesznego. Zgążyłem jeszcze wpaść w odwiedzinach do namiotu Tarnopolan: Zigmunta Woźniaka i Genia Bełaja, obaj z naszej "Budy"-II. gimnazjum w Tarnopolu. Powiedzieli mi, że w teatryku wojskowym występowała Hela Franiszynówna z Tarnopola, moja sąsiadka z domków kolejowych. Przepustka była krótka, trzeba było wracać do Buzułuka.

W "Ośrodku" poruszenie na skutek wypadku, jaki miał miejsce w gmachu sztabu. W nocy wdarł się jakiś oficer NKWD i zastrzelił, usiłującego go wylegitymować wartownika. Stojący wyżej na klatce schodowej podoficer polski strzelił do NKWDzisty, zabijając go na miejscu. Różne komentarze krążyły na ten temat, jedno było pewne, że wyborowego strzelca szybko wyekspediowano z Buzułuka do którejś dywizji, by go ochronić przed zemstą NKWD. Mówiono, że Rosjenin był pijany i dokonał zabójstwa w stanie zamroczenia.

Na stację kolejową przybył transport żywności z Anglii. Naszą kompanię podzielono na grupy i przydzielono do wyładunku. Listopad to zimny miesiąc pod Uralem. Nie mieliśmy rękawic, które zastępowaliśmy skarpetkami. Mróz spadł do -20° C. W często zarządzanych przerwach chroniliśmy się w przystacym baraku, mieszczącym stolarnię. W niej starzyki rosyjskie. Brodaci Rosjanie strugali z drzewa karabiny z nasadzonym "szykiem" w jednym kawałku. Stos takich "zabawek" leżał pod ścianą i czekał na odbiorcę. Naszą ciekawość zaspokoili brodacze mówiąc, że to dla Krasnej Armii, dla rekrutów, dla których zabrakło prawdziwej broni do szkolenia rekruckiego. Paki z "corned-beef"-em, sucharami, czekoladą itp itp ładowaliśmy na samochody i odwozili do magazynu. Leżeliśmy, marznąc, na wysoko ułożonych skrzyniach i gryźliśmy zamrażony "beef", wyciągany z puszek skradzionych na samochodzie. Głód rozgrzeszał nas i tłumiał wyrzuty sumienia. To, co widzieliśmy na wartowni naszych żandarmów, nie uspasabiło nas do bezinteresownej pracy przy wyładunku. Celowo opuszczaliśmy pakę na szyny kolejowe, by ją rozbić "przypadkowo" i zdobyć coś dla zaspokojenia głodu. Rozbite paki wykapywali żandarmi i robili z nich użytek, popijając prawdziwą herbatę z sucharami na wartowni. Po zakończeniu pracy, gdy wyciągaliśmy się w ciepłe na pryczach w naszej sali, nagle wpadła żandarmia, otoczyła nasze prycze i zaczęła rewidować. U czterech kolegów znaleźli po pudełku czekolady. Aresztowali ich jak złoczyńców i na rozkaz komendanta placu majora Domonja, zamknęli w piwnicy pozbawionej okien. Mróz nie zelżał w nocy. Na drugi dzień miał się odbyć sąd polowy. Zaczęły się interwencje za pośrednictwem wielemogącej sali kobiet. Widocznie trafiono, gdzie trzeba, bo skończyło się na karnam przeniesieniu "podchorążych" do V. Żelaznej Dywizji w Tatiszczewie. Wszystko to działo się w tym czasie, gdy na bazarze były do nabycia angielskie konserwy, a ze sztabu dochodziły echa przyjęć.

Wypadki te podziały na niektórych z nas w kompanii podchorążych tak, że 30 zgłosiło się do raportu z prośbą o przeniesienie do Ośrodka Lotnictwa i Marynarki w Kołtubance. Zналиśmy trudne warunki bytowania tam: namioty w lesie, mróz dochodzący w grudniu do -55° C., ale uznaliśmy, że to lepsze od tej buzułuckiej atmosfery. Chcąc nas przestraszyć, kazano wnieść prośby na piśmie /po co więc raport ?/ i zrzec się....praw wynikających z cenzusu/sic!/. Chciano nas wyleczyć z "pochopnej", jak mówili, naszej decyzji. Nie byli złymi psychologami, bo udało się im wyleczyć połowę z nas z ciągłówek do zmiany. Był to niecodzienny pomysł, wykwit "zupackiej" nonszalancji: kto może zrzec się cenzusu ?. Uśmialiśmy się i podpisaliśmy to zrzeczenie. Zaczęło się czekanie na wyjazd. Byliśmy zawieszani między dwoma Ośrodkami: do Buzułuku formalnie już nie należeliśmy, a do Kołtubanki jeszcze nas nie puszczono.

Pod koniec listopada przyszedł transport z angielskimi mundurami. Przemundurowali nas, mimo tego, że już nie należeliśmy do szkoły podchorążych. Trochę nas to zaniepokoiło: mundurów nie było za wiele, czekających z innymi oddziałów wielu, co się za tym kryje? W każdym razie cieszyliśmy się, że wreszcie pozbyliśmy się sowieckiej "skóry". Pozostały tylko uszanki, bo w furazerce wyjść na mróz nie należało do przyjemności.

Tymczasem dnia 7.XII.1941 na tablicy ogłoszeń ukazał się komunikat z nasłuchu radiowego o napadzie Japończyków na Pearl Harbour, co było jednoznaczne z wybuchem wojny między Stanami Zjednoczonymi a Japonią. Czekaliśmy na przystąpienie USA do wojny, ale nie w ten sposób. Gdzieś tam ginęli ludzie, a my cieszyliśmy się, że wreszcie Ameryka dołączyła do swych aliantów z I. wojny światowej. Teraz powinno się wreszcie zacząć! Więc my też chcieliśmy w swej drobnej skali przyspieszyć wypadki i upomnieliśmy się o rozkazy wyjazdu do Kołtubanki. Nic z tego nie wyszło, nasi kunktatorzy, mając władzę, byli górą. Czyżby nas chcieli "uziemnić" w Buzułuku? W kilka dni później zapędzono nas do robienia porządków, co w wojsku oznacza jakąś inspekcję albo wizytę. Z sali kobiet doszło do nas, że generał Sikorski po wizycie w Moskwie wybiera się do Buzułuka. I rzeczywiście - 11.XII.1941 pomaszzerowaliśmy do siedziby sztabu, gdzie w największej sali /chyba była to kiedyś sala balowa/ odbyła się akademія z okazji wizyty W. Sikorskiego. Umieszczono nas na balkonie. Widziałem przemawiającego wodza naczelnego. Był śpięty, mówił spokojnym głosem, który mu zarzął, gdy wspomniał o naszym wyjściu z Łagrów. "Nikt nam Polski nie ofiaruje, my sami wywalczymy Polskę, o której Stalin powiedział na Kremlu, że powinna być potężniejsza niż przed wojną....." Nie była to porywająca mowa, chociaż została skwitowana gromkimi oklaskami. Prawda, że chcieliśmy widzieć w Sikorskim kogoś pokroju Piłsudskiego, ale te myśli przyszły dopiero po powrocie do Ośrodka, gdzie rozgorzały dyskusje trwające niemal do rana. Wicestarosta kałuski znalazł dojdzie do Sikorskiego za pośrednictwem jego znajomej z sali kobiet i poskarżył się, że nas nie chcą puścić do lotnictwa. Wiele w tym było prawdy nie wiem, w każdym razie 13.XII.1941 byliśmy już w pociągu wiozącym nas do Kołtubanki.

Była niedziela 14.XII. gdy wysiedliśmy na małej stacyjce wiejskiej w Kołtubance. Zachłysnęliśmy się czystym, mroźnym powietrzem. Jakiś żołnierz wskazał nam drogę do lasu, w którym rozłożył swe namioty Ośrodek Lotników i Marynarzy. Wyminęliśmy wioskę, przeszliśmy obok chaty, w której mieściła się izba chorych i przed oczyma naszymi rozciągnął się malowniczy obrazek: na tle lasu brzoźowego równo ustawione szeregi namiotów, z których wydobywał się dym, formujący się w niewielką białawą chmurkę nad szczytami

drzew, otaczających polankę. Przeszliśmy pod bramą, na której widniał napis: I. Eskadra im. gen. Boruty-Spiechowicza". Byliśmy na miejscu. W kancelarii eskadry poznaliśmy obsadę podoficerską w składzie: st. sierżant Kokotek, sierżant Ziemia. Dochodził jeszcze szef st. sierż. Kordyl wraz z żoną, która w męskim przebraniu towarzyszyła mu w bozie, a w chwili naszego przybycia nie było ich w namiocie. Widząc nas w angielskich mundurach i powołujących się na to, że przychodzimy ze szkoły podchorążych, traktowano nas bardzo uprzejmie. Stworzono z nas drużynę, której oprócz namiotu przydzielono dowódcę w osobie plutonowego rezerwy Wojtkiewicza. Podtatusiały rezerwista, w cywilu urzędnik z Wileńszczyzny. W skład tak utworzonej I. drużyny I-szej eskadry weszli: Mający swe legowiska po prawej stronie od wejścia do namiotu: Podch. Litobarski Bolesław, plut. Wojtkiewicz Alfred, Blicharski Czesław, Nakoneczny Władysław, Frey Dionizy, Brzozowski Zygmunt, Siekierkowski Józef, Sęk Stanisław, Adamiec Stanisław. Po lewej stronie: Ostrowski Kazimierz Rzewuski Ludwik, Grącki Jerzy, Grzegorzyc Jan, Kołodziejski Zygmunt, Friedberg Tadeusz, Kosiński Jerzy, Kosiński Leszek/bliźniacy/, Wołoszczak Stanisław, kpr. Pereżnicki Józef. Tak się złożyło, że pierwszy namiot w pierwszym rzędzie namiotów eskadry był niezapęty i dostał się nam. Z początku drużynowy tytułował nas podchorążymi ale, gdy w kancelarii szef przyjszał się bliżej naszym papierkom, skończyła się ulgowa taryfa i prysł urok buzułucki. Prysły również nasze romantyczne zachwyty nad pejzażem lasu brzozowego, gdy weszliśmy do namiotu. Był wkopany na metr w ziemię i obsypany wałem śnieżnym, zamienionym na lodową okowę. Wewnątrz biegło coś na kształt rowu przez środek klepiska. W środku namiotu w tym rowie, stał piecyk-kuchenka, zmyślnie skonstruowany z jakichś odpadów blachy, cegły i gliny. W górę namiotu wychodził kominek, wypuszczający, jak się miało okazać za chwilę, nie cały dym na zewnątrz namiotu. Po obu stronach rowu, którego brzegi mierzyły pół metra, rozciągały się nasze legowiska. Leżało tam trochę suchej trawy i liści. Na tym podłożu położyliśmy nasz skromny dobytek: koc i "sumkę"-worek. W kuchence rozpaliliśmy ogień/okazało się, że wszyscy oprócz kadry byli harcierzami/ i zaraz zrobiło się raźniej na duszy. Ogień płonął na okrągło przez całą dobę, podsycany w dzień przez wszystkich, a w nocy przez wyznaczonych dyżurnych-strażników ognia. Przeżycia pierwszej nocy spędzonej w namiocie, gdy temperatura na zewnątrz dochodziła do -40°C. skonfrontowaliśmy rano ze wspomnieniami ciepłej sali w buzułuckim Ośrodku. W ciągu nocy panował w namiocie ciągły ruch: co chwila wybiegał ktoś z namiotu, gnany potrzebami pęcherza. Spaliśmy na podłożonych pod siebie spodniach i płaszczach, przykryci kocem, przytuleni ciasno jeden do drugiego. Najgorzej przebyli tę noc leżący tuż przy wyjściu z namiotu, a szczególnie Adamiec, który wychodził 15 razy. Po opał chodziliśmy dość daleko do lasu, bo w pobliżu Ośrodka

drzewostan był bliski dewastacji. Nie raz przez dwa kilometry trzeba było "targać" kilkumetrową brzozę zanim, porąbana znalazła drogę do nienasyconej kuchenki. Adaptacja do nowych warunków bytowania nie przebiegała, w pierwszych dniach, jednakowo dla wszystkich. Z piecyka dymiło na potęgę tak, że stale mieliśmy zapłakane oczy i poczerwiałe od sadzy twarze. Zaraz na pierwszej porannej zbiórce oberwało się nam zdrowo za taki wygląd. Pozwolono nam odśpiewać "Kiedy ranne wstają zorze", aby natychmiast wziąć nas do galopu z takim skutkiem, że następnego dnia wymyści, suchym śniegiem przed pobudką, błyszczeliśmy czystością, zwracając ogólną uwagę. Gdyśmy się trochę obyli z nowymi warunkami, poszedłem pomiędzy namioty pozostałych eskadr w poszukiwaniu znajomych. I tak w VII. eskadrze znalazłem Władka Wesołowskiego, z którym przewędrowałem pół Rosji. Z drugim towarzyszem tej samej wędrowki nie miało tak serdecznej atmosfery, spotkanie które doszło do skutku w śmiesznej sytuacji. Kiedy przysł mit podchorążych wyznaczono nas do prac różnego rodzaju. Raz wyznaczono naszą drużynę do rąbania drzewa opałowego dla potrzeb namiotu oficerskiego. Z namiotu wyszedł podchorąży i podał nam "szimel" według którego mieliśmy rżnąć drzewo. Szlag nas trafił, że taką ludzką potrzebę, jednakową dla wszystkich, którzy chcieli przetrwać w tych ciężkich warunkach, mieliśmy zaspakajać w formie posługi tym, którzy żądali tego z racji niezyciowego regulaminu pokojowego. Mróz był demokratyczny, równo dokuczał wszystkim bez względu na stopień. Tak było w łagrze, ale nie w tym wojsku. Na domiar złego z namiotu wychylił się Stawiarski z gwiazdką na ramieniu i ku memu "cywilnemu" zdziwieniu potraktował mnie nie jak współtowarzysza niedoli, z którym kradł jagnię dla ratowania się od głodu, ale jak nieznanego rekruta "per wy". Usłyszał co potrzeba. Rzuciliśmy piły i posuliśmy "do domu". Widocznie znalazł się wśród władzy ktoś nie całkiem głupi, bo nie było żadnych konsekwencji służbowych w odpowiedzi na "złamanie dyscypliny wojskowej". Już nas więcej nie wyznaczano do takich posług.

W dalszym ciągu głodowaliśmy. Cienka zupka z kaszy jaglanej i pajka chleba, wagi 700 gr. stanowiły podstawę naszej marnej egzystencji. Czyż te kalorie mogły zrównoważyć skutki działania mrozu, który z końcem stycznia 1941 przekoczył kreskę -55°C .? Pierwszym tematem niekończących się rozmów był chleb. W małym świątku jednego namiotu podział jego dostarczał mistycznego niemal przeżycia, które czasami przeradzało się w ordynarną awanturę. Zmarznięty bochen chleba dzieliło się piłą do rżnięcia drzewa. Następnie porcje ważono na zmasłynie skonstruowanej wadze. Przy podziale wybuchały kłótnie. Oczy były głodne. Rozpadały się przyjaźnie. W mojej czwórce/byliśmy podzieleni na czwórki dla celów podziału chleba/ zaproponowałem bardzo prosty

sposób, dzięki któremu uniknęliśmy przykrych doświadczeń innych drużyn. Podczas, gdy pozostali wazyli chleb, my ograniczyliśmy się do podziału naszego bochenka na cztery części. Jeden z czwórki odwracał się do tyłu, drugi brał pajkę chleba i pytał odwróconego dka kogo była ta pajka? Padało nazwisko jednego z czterech i koniec swarów. Po paru dniach reszta drużyny przyjęła nasz system i w ten sposób przycichł temat chleba w namiocie. Waga do ważenia chleba wyleciała z namiotu i pojawił się nowy temat, nie mniej podniecający : nasz wyjazd do Anglii. Przed naszym wyjazdem do Kołtubanki grupa pilotów i mechaników wyjechała kolejną do Archangielska, a stamtąd popłynęła angielskim konwojem do Anglii. Kancelaria przygotowywała bez końca spisy wyjeżdżających. Dowódca Ośrodka, major Górski, jeździł gdzieś z nimi, a po powrocie, jego sekretarka " w tajemnicy" puszczała plotki o ewentualnych terminach wyjazdu. Robiono nam fotografie do paszportów. Dochodziły głosy, że Rosjanie podejrzewając, że wśród nas jest wielu, którzy nie mieli nic wspólnego z lotnictwem, zapowiedzieli, że takich nie wypuszczą. Zaczęto więc fabrykować lotnicze "życiorysy" takim jak ja i mnie podobni, którzy nigdy nie służyli w lotnictwie. Uczyłem się na gwałt od wychowanków szkoły lotniczej dla nieletnich w Krośnie różnych nazwisk wychowawców szkoły, przyswajając sobie opis miasta itp, by się nie dać złapać przy ewentualnym egzaminowaniu nas przez oficerów NKWD. Równocześnie dowódca Ośrodka tworzył dziwne instrukcje i śmieszne rozkazy. Rozgłosu nabrady pouczenia, jak należy się zachować na statku w razie stłuczenia garnuszka. Dalej, przy temperaturze -35°C . trzymano nas w okolicy latryny, ćwicząc z nami chóralny śpiew hymnu lotniczego. "Lotnik skrzydlaty władca świata bez granic...." Z mrozu zasychało nam w gardłach, z nosa kapało wiecznym katarrem, a my dzielnie śpiewaliśmy, My "władcy świata..." Jeszcze nikt wtedy nie słyszał o Mroźku, a my już tańczyliśmy według jego scenariusza surrealistyczny płas. Plotka goniła plotkę. Powodzenie zdobywali domorośli kabalarze i wróżbici, a czas włókł się okropnie.

Za pierwszy żołąd /20 rubli/ kupiłem sobie orzełka z husarskimi skrzydłami, wyciętego z puszki konserwowej przez przedsiębiorczego artystę z II-giej eskadry. Z tym orzełkiem na uszatce z króliczej skóry, w angielskim płaszczu wyruszyłem 23.XII.1941 na przepustkę, by spędzić święta Bożego Narodzenia z braćmi : Mankiem i Wackiem w Tockoje. Potężna bermysca z niecodziennym orłem i płaszcz aliancki natchnęły przechodzącą sanitariuszkę do eleganckiego salutu, gdy przechodząc przez obóz szukałem ziemiarki Manka. Widocznie nie dostrzegła moich naramienników, gdzie nic nie błyszczało. Od Manka dowiedziałem się że tą sanitariuszką była córka b.dowódcy 54 pp w Tarnopolu ppułk. Franciszka Polniaszka. Manka znalazłem w prymitywnej ziemiance, gdzie razem

z dwoma współlokatorami kulił się z zimna przy piecyku. Zapłakani od dymu wydobywającego się z piecyka, w którym palili mokrą wikliną. W tym czasie już Polacy zdążyli przepuścić przez takie piecyki nie tylko płoty ale i większość baraków letniego obozu Krasnej Armii.

Wigilia w ziemiance. Oczy opuchnięte nie tylko od dymu. Trzech z rozbitej przez wojnę rodziny: Manek, Wacek i ja spotkaliśmy się wreszcie pod jednym dachem /co za dach?/ na pierwszym etapie drogi powrotnej do domu. Łamaliśmy się czarnym chlebem wymieniając życzenia, by następne święta Bożego Narodzenia były już w domu, tym razem w wolnej ojczyźnie. Myśli nasze biegły do rodziców, którzy, kto wie, czy oparli się wywózkom sowieckim, inwazji niemieckiej, do najmłodszego brata - Zbyszka, który po zwolnieniu z łagru i krótkim spotkaniu z Mankiem i Wackiem został wysłany na roboty gdzieś w dalekiej północy. Wacek ^zmyślony, niespokojny o los żony. Ja, wprawdzie wolny, ale też myślałem o kimś, kogo zostawiłem z pożegnaniem "do widzenia w niebie". Górowała jednak nad wszystkim myśl, że w tej ubogiej ziemiance byliśmy bardzo blisko biednej stajenki, w której rodził się Bóg. Wacek musiał wracać do swojego oddziału, a ja posiedziałem z Mankiem do dnia 26.XII, by tego samego dnia zgłosić się w Kołtubance.

Dostałem chwilowe zajęcie, w którym wykorzystano moją umiejętność pisania. Zatrudniono mnie w komisji poborowej, kierowanej przez mjr. K. W zasadzie wyglądało to na działanie normalnej komisji poborowej, badającej przydatność ludzi do służby wojskowej, ale działy się tam również rzeczy nie mające nic wspólnego z celem komisji. Jednego dnia byłem świadkiem, jak płaczący żołnierz, wyglądający na zdrowego, prosił o niewyrzucanie go z wojska. Okazało się, że koledzy z łagru zeznali, że on był szpiclem NKWD-owskim i wyrządził ludziom dużo krzywd. Stąd była decyzja komisji, pod przykrywką nieprzydatności do wojska ze względu na stan zdrowia, usuwająca skompromitowanych ludzi z wojska. Los takiego "odrzutka" w ZSSR był wcale nie wesoły. Pozostawał mu tylko kołchoz na dalekim południu. Przy tej okazji przypomniały mi się opowiadania Zygmunta Woźniaka w Tocku o załatwieniu porachunków łagiernych z Żydami, którzy masowo w łagrach przeszli na wrogie pozycje w stosunku do polskości. W nocy wokół obozu załatwiano porachunki sznurem i nożem. Coś musiało być prawdą, bo nie daleko od nas w Kołtubance znajdował się w lesie obóz Żydów, z którymi, chyba z tych powodów, nie wiedziano co robić. Nazwalimy ich "Batalionem Śmierci". Byłem u nich i widziałem ich koczujących przy ogniskach, prawdziwych "dochodzących", zaniedbanych, zarośniętych i brudnych.

Gdy już kończyła się któraś tam z rzędu kwarantanna narzucona nam przez władze rosyjskie, wybuchł tyfus w sąsiadującym z nami namiocie. Znowu spełnienie naszych planów wyjazdowych zostało odłożone na okres nowej 2-tygodniowej kwarantanny, licząc od wygaśnięcia ostatniego przypadku. Odizolowano -

wano mieszkańców namiotu tyfusowego. Nie wolno było nikomu wychodzić, chyba za potrzebą fizjologiczną i to pod strażą wartownika. Przygnębiający był widok nawet dla nas, przywykłych już do chorób i śmierci, którą w łagrach odarto całkowicie z jej dostojęstwa, a ona naigrywała się z nas ukazując trupy kolegów wyłożone za drutami, pod "wyżkami" striełków.

Odizolowanym podawano posiłki do namiotu za pomocą długiego kija i pytano, czy były nowe zachorowania? Na szczęście nikt nie zmarł i co najdziwniejsze, nikt się nie zaraził tak, że wreszcie ukończono kwarantannę. Wraz z jej zakończeniem ujrzelśmy perspektywę rychłego już wyjazdu. W międzyczasie jednak "desanciarze" skradli konia w pobliskim kołchozie i zanim zjawiła się pogoń za nimi w postaci NKWDzistów, koń został tak doskonale podzielony, skóra ukryta, że rewizja niczego nie wykazała.

Z namiotu D-cy Ośrodka przeniknęła do nas wiadomość, że wkrótce wyjeżdżamy na południe. W sobotę 31.I.1942 r. po rozebraniu namiotów i przygotowaniu opału na drogę, zaczęliśmy się łądować do pociągu towarowego, podstawionego na stacji w Kołtubance. Postawiliśmy plecyk w wagonie, w którym nie było prycz, bo jak zapewniali kolejarze sowieccy, prędko będziemy na miejscu. Nie bardzo im wierzyliśmy i z pobliskiego wagonu "zwędziliśmy" deski nieheblowane, z których urządziliśmy sobie prycze. Marzenia o względnym komforcie podróży szybko przysły, o co postarali się nasi oficerowie, jadący w oddzielnym wagonie. Pod pozorem, że deski potrzebne są do urządzenia wagonu kancelaryjnego, zabrali nam je. Musieliśmy spać na gołej podłodze. Na pierwszym przystanku postanowiliśmy sprawdzić los desek. Zawędrowały one do wagonu oficerskiego. Po dwóch dniach podróży zajechaliśmy "aż" do Orenburga. Po drodze musieliśmy stać długo na rozjazdach, by przepuścić transporty wojskowe, jadące w stronę frontu. Mijały nas pociągi z rannymi, jadące w kierunku Syberii.

A ja dostałem wysokiej gorączki. Ze strachem myślałem, czy to nie tyfus? Dla dopełnienia pechu, na jednej ze stacji zatrzymano nasz pociąg, pokazali się wojskowi sowieccy w białych płaszczach. Gdy otwarto nasz wagon i wszedł oficer z termometrem /felczer/, dowiedzieliśmy się, o co chodzi. Kontrola tyfusowa. Kiedy przyszła na mnie kolej, wziąłem termometr, a kolega obok leżący, przesunął się zgrabnie na moje miejsce i wsadził sobie termometr pod pachę, po chwili oddał mi go. Felczer spojrzął na termometr, zmierzył temperaturę pozostałym kolegom i ... zamknął drzwi wagonu.

W Jajsan wjechaliśmy do republiki Kazachstan. Na mijanych stacjach widzieliśmy przeważnie skośnookich, o szerokich twarzach Kazachów.

3.II.1942 r. byliśmy w Aktiubińsku, następnego dnia w Arałsku - już w Uzbekistanie. Wypatrywaliśmy cieplejszych dni w miarę posuwania się pociągu na południe. Ale pociąg włókł się powoli, zatrzymując się na stacyjkach i w polu, nie wiadomo poco.

Dnia 6.II.1941 byliśmy w Kził-Orda, 7.II. w Aras, a 8.II. w Tazskencie. Rzykowny wyskok na miasto niczego nam nie dał oprócz brudnego "kiszmis", suszonych winogron. Jeszcze Samarkanda, by 9.II. osiągnąć cel podróży, jakim było Kermine, niedaleko legendarnej Buchary.

Nasz skromny dobytek przenieśliśmy ze stacji kolejowej za miasteczko na pustynię, nad brzeg "ariku" /rów nawadniający/, gdzie wyznaczono nam miejsce na rozbicie obozowiska. Z boku widoczne było Kermine z jego parterowymi domami, zbudowanymi z niewypalanej cegły. Domy żyjące do wewnątrz, bez okien na ulicę. Sprawiały wrażenie jakichś klocek. poustawianych wzdłuż wąskich i krętych uliczek. Całkowity brak zieleni, wszędzie szaro od kurzu, podnoszącego się za lada podmuchem wiatru. Rozbiliśmy nasze namioty wprost na piasku, bez okopywania. Pozwalała na to temperatura i przekonanie, że nasz pobyt tutaj będzie należał do krótkich. Jedynie namiot przeznaczony na areszt pokrywał głęboki na 1¹/₂ m. dół. Gdy wróciliśmy z nad ariku, gdzie zmyśliśmy z siebie brud podróży, nie znalazłem, zostawionej pod opieką wartownika, "sumki". Ogarnął mnie w pierwszym rzędzie strach, bo ukradziono mi dokument zwolnienia z łagru. Być bez takiego dokumentu i w tym czasie w ZSSR to sytuacja nie do pozazdroszczenia. Zgłosiłem kradzież w kancelarii eskadry, ale strach pozostał. Żał mi było kociołka, wydłubanego z pnia brzozy, łyżki drewnianej, wyciosanej przez kolejarza Skulskiego, jeszcze w stanisławowskim więzieniu, no i samej "sumki" uszytej przeze mnie z dwóch onuc. Chciałem ten "dobytke" dowieść do Tarnopola.

Nasz Ośrodek składał się z dywizjonu rozbitego na 10 eskadr. W sumie ok. 1500 ludzi. Wokół nas zaczęli się gromadzić ludzie spływający z łagrów. Po przeżyciu drugiej zimy w ZSSR byli cieniem samych siebie. Przywlekli tyfus, w wyniku czego znów ogłoszono kwarantannę. Porcje chleba małały, bo trzeba było dzielić się z ludnością cywilną, podążającą za wojskiem. W budynku szkolnym urządzono szpital dla zakaźnych. Wielkie słowo "szpital" dla przechowalni żywych trupów. Obok szpitala, w komórkach, leżały warstwy zmarłych, po pięciu, jeden na drugim. Za dodatkową porcję zupy ochotnicy-żałobnicy przenosili stąd nieboszczyków na drzwiach zamiast noszy na zapoczątkowany przez nas cmentarzyk za nasypem kolejowym. Bardzo często wskutek tego wysiłku sami padali i zamiast niosących, stawali się niesionymi.

Tłumy oblegały komisję poborową, która z trudem mogła wybrać kogoś z pośród tych na wpół żywych ludzi.

W jednej z grup koczujących wokół komisji spotkałem Tarnopolanina - st. sierżanta Bojkę. Był to cień człowieka znanego mi przed wojną.

To wszystko działo się jakby na obrzeżu naszego życia, podczas gdy my urządzaliśmy się na nowym miejscu postoju. Po postawieniu namiotów trzeba było zabezpieczyć kuchnię przed ewentualnymi opadami. Narazie

kotły zostały zawieszane nad ogniskami, w których paliło się "kiziakiem". Robiliśmy wyprawy w głąb pustyni, gdzie Uzbegy wypalali na słońcu cegłę zrobioną z błota. Maszerowaliśmy po 5 km dźwigając "aż" dwie cegły, bo na tyle pozwalały nasze siły. Byliśmy wyścieńczeni fizycznie, nie dojedzeni, wręcz głodujący. Sunęły więc nasze karawany przez pustynię po cegły, aż w końcu stanęła kuchnia i magazyn żywnościowy. Radość trwała krótko. Spadł w nocy ulewny deszcz i z naszych budowli została kupa błota. A więc marsz drugi raz, tym razem jeszcze dalej w pustynię w poszukiwaniu lepszych cegieł. Powstała wtedy rosyjsko-polska piosenka obozowa: "Zawalił się sracz, kak jowo podniat ..." którą śpiewaliśmy maszerując z cegłami, zabieranymi Uzbekom prawem kaduka.

Po zbudowaniu kuchni wylegiwaliśmy się na słońcu niezbyt zdolni do jakiegokolwiek wyczynu. Rozleniwieniu postawiło tamę dowództwo, które wymyśliło jakieś ćwiczenia marszowe. Zaprowadziły nas one do ciekawych miejsc: meczetu i warowni. W drodze powrotnej zauważyliśmy na pustyni jakieś kopczyki piasku nieregularnie rozrzucone. Ktoś kopnął w jeden z nich i ku naszemu zdumieniu zobaczyliśmy żółwia. Wobec tego, że w poszukiwaniu jedzenia wyniszczyliśmy wszystkie psy w okolicy, zaczęliśmy polować na żółwie. Kamieniami rozbijaliśmy pancerze, by znaleźć mikroskopijną ilość mięsa.

Innym przedstawicielem fauny pustynnej były skorpiony. Dzięki rozkazom przewijającego dowództwa, zaraz po pobudce sptaawdzaliśmy buty przed ubraniem ich. Bardzo często znajdowaliśmy śpiące w butach skorpiony. Na szczęście ustrzegliśmy się ukąszeń przez nie. Nie wiadomo co robilibyśmy w takich wypadkach nie mając szczepionek.

W tej naszej prymitywnej wegetacji nie zapomnieliśmy o tzw. życiu kulturalnym, czego wyrazem była "Gazetka ścienna" p.t. "W drodze". Jedną z eskadr stworzyła czteroosobowy zespół rewelersów, do którego oprócz Wojewódki, Zieniewicz i jeszcze jednego kolegi z naszej eskadry, wszedł Kazio Switaka. Wszyscy pochodzili z Wileńszczyzny. Tworzyli dość dowcipne "czastuszki", tematycznie bardzo związane z naszymi oczekiwaniami na wyjazd do Anglii. Dawali występy, na które chętnie przychodzili Uzbegy, gdy zorientowali się, że "ci biali" nie są Rosjanami. Bratanie się Uzbeków z nami na bazarze, czy w pijalni "czaju" było solą w oku miejscowych NEDzistów, którzy nawet interweniowali, gdy widzieli kilku Uzbeków rozmawiających z nami.

Tak przeszedł luty i pół marca. 15.III.1942 złożyliśmy przysięgę wojskową na wierność Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Była msza św. i defilada po pustynnym piasku.

Dalsza część pamiętnika:

21.III.1942 r. U nas rozpoczęła się kalendarzowa wiosna. "U nas" tzn. hen, daleko, tysiące kilometrów stąd w kierunku zachodnim, w dalekiej Polsce. To dru-

gie, aktualne "u nas", to zapadła miejscina, a raczej "stacja" Kerminie w Uzbekistanie. Trochę zabudowań glinianych, nędznych tak, jak ich właściciele, brudni Uzbeki. Kilka parterowych zabudowań i magazyny kolejowe - ot i cała "stacja" Kerminie. Kilometr od stacji, nad rowem nawadniającym rozbiliśmy nasze namioty i odbywamy kwarantannę. Oczywiście tyfus! Oczekujemy jej końca albo jakiegoś innego rozwiązania. W poniedziałek był u nas major Górski. Opowiadał nam o wrażeniach, jakie wywarła nasza postawa na defiladzie po przysiędze na dowódcy VII Dywizji i zaproszonych gościach. Następnie oznajmił nam, że termin wyjazdu jest odłożony po raz niewiadomo który, "ad Calendas Graecas". Wobec tego, że poprzeniej nocy wydarzył się nowy przypadek tyfusu w dywizjonie, z dniem dzisiejszym rozpoczynamy nową 14-dniową kwarantannę. Nie przeszkadzało to 22-mu pułkowi zacząć przejmowanie obozowiska. W pierwszej grupie był Tadzik Spittal z II. gimnazjum w Tarnopolu, który w międzyczasie awansował nad podporucznika. Ci, co przejmowali nasz namiot mieli zapewnioną zupełną żółwią, bo pozostawiliśmy cały nasz zeszlonoćny połów.

Niedziela 22. III. 1942.

Zbudził mnie w nocy hałas. Słyszę jakiś głos: "Robić alarm!" Dopiero za chwilę, około godz. 2-giej rozlega się głos służbowego: "Pierwsza eskadra! Pobudka, pobudka, wstawać!" Już wiemy, pobudka o tej porze może oznaczać tylko wyjazd. I rzeczywiście następny rozkaz: "Pakować się!" Mam niewiele do pakowania, bo wszystko mi skradziono. Roluję koc, biorę płaszcz i jestem gotowy do wymarszu. Tymczasem wymarsz odwleka się. Śniadanie. No, śniadanie królewskie, od dawna takiego nie widzieliśmy. Wreszcie wymarsz o godz. 7-ej. Nasza drużyna zostaje, bo musimy jeszcze zanieść wyposażenie kancelarii eskadry na stację. Mrzy lekki deszczyk, ale to nic. Wiara wesoła, humory wyśmienite. Doczekaliśmy się. Od chwili spełnienia marzeń dzielą nas już tylko chwile. Na stacji różnorodny tłum Uzbeków, mieniający się różnobarwnością strojów. Obok ryczą śmieszne wielbłądy, a przy samym torze orkiestra 22 pp i koledzy z innych broni, patrzący z zazdrością na nas. Orkiestra przygrywa, jakoś raźniej na duszy. Pogoda poprawiła się, słońce żegna nas, to dobry prognostyk na przyszłość. Zbiórka eskadry przed składem pociągu. Bacność! Na prawo patrz! To dowódca VII. Dywizji płk. Gaładyk żegna nas. Padają mocne słowa o spełnionym śnie, o szpadzie, o skrzydłach.... Z piersi naszych wyrzywa się gromki okrzyk na cześć Tej, która nie zginęła i bije w azjatyckie niebo. Przejmujący ryk syreny kolejowej i ruszamy. Spiewem żegnamy Kerminie. Przejeżdżamy obok cmentarzyka, na którym bieleją liczne, o jak bardzo liczne, mogiłki-kupy piasku bez krzyży tych, co zdążyli z różnych stron Rosji do Wojska Polskiego, ale wycieńczeni do ostatecznych granic, raczej do cieni niż do ludzi podobni, padli tu na obcej ziemi. Jak straszny żal targa duszą i tłumi radość wyjazdu. Dlaczego

jestemy tak bezsilni, że nie możemy tych ludzi, którzy tak wiele wycierpieli, wyrwać z zachłannych rąk śmierci i włożyć im w dłoń wytraconą broń. Gdzie jest wina? Dlaczego los jest tak okrutny? W obliczu tych mogił nieznanymi żołnierzami, którzy padli na obczyźnie, w duszy zrywa się bunt na niezbadane wyroki Opatrzności. Zdała bieleją rzędy naszych namiotów, objętych przez VII. Dywizję, „łopoce na maszcie dumna polska flaga. Wreszcie i ten widok ginie z odzu, znika Kermine. Pociąg niesie nas poprzez pustynie Uzbekistanu, mijamy Kagan, Czerdzou, przeskakujemy Amu-Darię olbrzymim mostem, zbudowanym przez polskiego inżyniera. Dojeżdżamy do Mari. Jest noc. Prowadzą nas do wojskowej stołówki, gdzie poczęstowano nas o 2-giej rano obiadem. Jedziemy dalej. Po niespodziewanym posiłku u Krasno-armiejców, szybko wróciło uczucie głodu. Gdy zatrzymywaliśmy się na stacyjkach, natychmiast zaczynaliśmy myszkować za jedzeniem. Raz udało mi się znaleźć w jednym z wagonów towarowych resztki bawełnianego makuchu. Były to płytki sprasowane na kamień. Rozbijałem je na kawałki i żułem. Póki się żuło wszystko było w porządku, ale po godzinie dostałem okropnego wzdęcia tak, że maślałem, że pękne.

Poniedziałek 23. III. 1942.

Jesteśmy w Aschabadzie, stolicy Uzbekistanu. Na dworcu kolejowym pustki, zupełnie nie widać cywilnej ludności. Czyżby ją usuwali na czas naszego przejazdu przez stację? Za to peron upstrzony niebieskimi czapkami NKWD i zielonymi strażnicy granicznej. Jeszcze 555 km dzieli nas od portu w Krasnowodzku.

Wtorek 24. III. 1942.

Zdała widać olbrzymią przestrzeń o szafirowym kolorze. To morze Kaspjskie. Piękny, a zarazem dziko poszarpany brzeg morski. Stromy i wysoki. Linia kolejowa wije się wzdłuż wybrzeża. Jeszcze parę kilometrów i pociąg zatrzymuje się. Stajemy na 5-tym kilometrze przed stacją w Krasnowodzku, tuż nad brzegiem morza. Zbliża się do pociągu grupa oficerów NKWD, a wśród nich płk. Berling. Wsiadamy. Zbiórka, krótkie przemówienie płk. Berlinga i maszerujemy do tymczasowych kwater, przygotowanych w portowych składach. Dowiadujemy się, że jeszcze dzisiaj odpłyniemy. A tymczasem załatwiają formalności, ostatnie już na niewdzięcznej ziemi rosyjskiej. Oczywiście nie obejdzie się bez "clou" programu, jakim jest szukanie wszy. Tym razem robią to wcale żadne lekarki Turkmenki

i Rosjanki. Robią to nawet sympatycznie. Na oczekiwaniu przechodzi czas do zmroku. Wreszcie formujemy kolumny i maszerujemy do portu. ~~Malutkie asfaltowe uliczki~~ Maszerujemy 5 km wzdłuż wybrzeża. Zbliżamy się do Krasnowodzka. Miasto rozłożone na skrawku równiny, otoczonej górami. Malutkie asfaltowane uliczki, bardzo jasno oświetlone. Nigdzie nie widać ani żywego ducha w cywilnym ubraniu. Niesamowite wrażenie. Tylko nasze kroki głucho dudnią już na drewnianym molu. Gdy przychodzi kolej naszej eskadry do wejścia na pokład, ogarnia mnie strach, czy nie będą sprawdzać indywidualnych dokumentów. Dwóch NKWDzistów sprowadza ze statku jakiegoś osobnika w kufajce. Po pomocy wchodzimy na pokład statku. Dowiadujemy się, że sprowadzony ze statku osobnik był oficerem sowieckim, legitymującym się dokumentem na nazwisko Blicharski. To chyba sprawca kradzieży mojego "udostowierenia" w Kermine. Czyżby ów krasnoarmiejec chciał uciec z nami w świat? Statek nosił miano "Turkmenistan". Umieścili nas pod pokładem. Jeszcze tylko ten statek pod flagą sowiecką łączy nas z ZSSR. Zapada noc. Ostatnia noc na rosyjskim terytorium. Płyniemy!

.....

ARCHIWUM WSKRODNIE